

Maria Błażewska - Kosińska

Białystok.



Nazywam się Maria Błażewska Kosińska. Urodziłam się we wrześniu 1920-go roku we wsi Orle na Kujawach, w powiecie wrocławskim, niedaleko Nieszawy. Moi rodzice - rodowici warszawiacy - byli wówczas w Orlu nauczycielami wiejskimi. Często miewali wielu uczniów starszych od siebie, bo przecież niedawno była wojna bolszewicka. Miałam brata młodszego o dwa lata. Kiedy miałam cztery lata, a brat dwa - rodzice postanowili dokształcać się. Ojciec zapisał się na Uniwersytet Warszawski na wydział historii i geografii. Natomiast matka była przez rok słuchaczką / na płatnym urlopie / u pani dyrektor Marii Grzegorzewskiej w Instytucie Pedagogiki Specjalnej.

W tej sytuacji rodzice byli niejako zmuszeni przenieść się bliżej Warszawy. Sytuacja z mieszkaniami i w ogóle była bardzo trudna - był to rok 1924-ty. Zamieszkaliśmy w Wołominie. Rodzina mojej matki - moje ciotki - były w Warszawie, ale tam nie było miejsca dla nas. Zamieszkaliśmy więc w Wołominie. Dzieci pozostawały pod opieką gospodyni, u której wynajmowaliśmy pokój, a rodzice codziennie dojeżdżali do Warszawy.

Po roku ojciec awansował. Dostał posadę wykładowcy historii i geografii w seminarium nauczycielskim w Lubawie. Było to nie wielkie miasteczko, położone o pięć kilometrów od granicy z Prusami Wschodnimi. W tym dwutysięcznym miasteczku było jednak gimnazjum polskie, seminarium nauczycielskie i szkoła wydziałowa dla dziewcząt. Matka pracowała w szkole powszechnej, a później nawet w wydziałowej. Natomiast ojciec, który był bardzo energiczny i szalenie zdolny, miał na głowie całe seminarium, bo jego dyrektor bardzo lubił grać w brydża i wszystkie kłopoty spadały na ojca.

Uczniowie byli dorośli i pochodzili z Warmii i Mazur. Nie wiem, czy oni mieli obywatelstwo polskie czy niemieckie i czy byli na kursach działaczy oświatowych i nauczycieli z Warmii i Mazur. Nawet ojciec jeszcze przed wojną otrzymał złoty Krzyż Zasługi za pracę dla ziem zachodnich.

W Lubawie mieszkaliśmy trzy lata. Chodziłam do szkoły ćwiczeń, bo taka szkoła istniała wówczas przy każdym seminarium nauczycielskim. Szkoły organizowane przy seminariach nazywały się "ćwiczeniówkami". Były to szkoły czteroklasowe i w tych szkołach praktykowali uczniowie seminarium. W takich szkołach poziom był trochę wyższy niż w zwykłej szkole podstawowej, powszechnej.

Do pierwszej klasy nie chodziłam, bo gdy miałam sześć lat matka nauczyła mnie czytać i pisać. W siódmym roku życia poszłam odrazu do drugiej klasy. Mój młodszy o dwa lata braciśzek poszedł do pierwszej klasy w wieku siedmiu lat i dlatego był ode mnie o trzy klasy niżej. Miał na imię Andrzej.

Do Lubawy władze oświatowe celowo kierowały nauczycieli z różnych stron Polski. Nie byli więc tam sami Pomorzacy. Moi rodzice byli przecież z Warszawy, dyrektor Zajac pochodził ze Lwowa. Była to więc istna mieszanka i wszyscy dobrze ze sobą żyli.

W owym czasie kino jako zjawisko kulturalne dopiero się zaczynało. Pamiętam taką komedię rysunkową, jak zięć wiozł teściową na fotelu i teściową osa ugryzła w nos. Ale teatru jako instytucji tam nie było. Teatr był domowy. Wszystkie dzieci nauczycielskie uczyły się ról. Odtwarzaliśmy żywe obrazy, jak "Wyzwolenie Polski", "Polska". Dzięki temu i dzieci były zżyte ze sobą i nauczyciele też.

W roku 1930-ym ojciec awansował dalej - do Torunia. Tam było Kuratorium, ale kuratorium poznańskie. Tam ojciec został wizytatorem, a ja poszłam do pierwszej klasy miejskiego gimnazjum w Toruniu, ale bardzo tęskniłam do Lubawy. Wówczas to napisałam wiersz:

O, jak ja tęsknię do tego kraju,
do tych białych róż,
O, jak ja tęsknię do tego gaju
i tych czerwonych zórz.

Tak brzmiała pierwsza zwrotka mojego wiersza, pisanego z tęsknoty za Lubawą. Ale ~~xxxy~~ żyłam się z dziewczętami z tego żeńskiego gimnazjum. W Toruniu było też męskie gimnazjum polskie i męskie gimnazjum niemieckie. Do polskiego gimnazjum uczęszczał między innymi Zbigniew Lengren. Natomiast Danusia Lengrenówna - jego siostra - była moją drużynową w harcerstwie.

Jeśli chodzi o domowe czytania, to w każdą wigilię pod choinką czekały na nas książki, niektóre doskonałe. Ponadto doskonałe były redagowane "Płomień" i "Płomyczek".

Pracując w Toruniu ojciec otrzymał nową propozycję: stanowisko kierownika referatu oświaty pozaszkolnej we Lwowie. To był wielki awans choćby dlatego, że kuratorium lwowskie obejmowało trzy województwa: lwowskie, stanisławowskie i tarnopolskie. Pole do popisu było rzeczywiście szerokie. Przenosiny wypadły w połowie roku szkolnego - podajże w styczniu 1932-go roku. Wówczas była straszna zima: dwadzieścia stopni mrozu codziennie. Mój ojciec był jednak tak świetnym organizatorem i tak to zorganizował, że myśmy tego nie odczuli. Przejazdem zatrzymaliśmy się na kilka dni w Warszawie u ro-

dziny. "Ówczas to byłam w teatrze na "Wilku z koźlętami". Przy tej okazji zwiedzaliśmy też Zamek Królewski.

We Lwowie w domu ojciec był nieuchwytny. Ciągłe coś organizował i jeździł po terenie, gdzie znał wszystkich nauczycieli. Nie wiem, kto był kuratorem wtedy, gdy ojciec zaczynał pracę. Wiem natomiast, że gdy po kilku latach wybuchła wojna, kuratorem był pan Tadeusz Kopczyński. Dopiero po wojnie, czytając wiele na ten temat dowiedziałam się, że pan kurator Kopczyński - który zmarł w roku 1968-mym - wy dostał się ze Lwowa, przedostał się na teren okupacji niemieckiej i wojnę spędził chyba w Warszawie. Jeśli mi dobrze wiadomo, w tym czasie był zaangażowany w Radzie Harcerstwa.

We Lwowie ojciec działał bardzo energicznie, pisał liczne referaty. W czasie wakacji prowadził kursy dla nauczycieli szkół powszechnych ze swojego terenu dlatego, że słuchaczami kursów oświaty pozaszkolnej byli nauczyciele.

Te zagadnienia bardzo interesowały. Byłam na takim jednym kursie - nie mogę przypomnieć, gdzie to było. Mieliśmy też z tego tytułu kontakt z Uniwersytetem Ludowym z tym, że to był inny uniwersytet niż ten w miejscowości Gacie koło Przeworska. Ten uniwersytet istniał na terenie kuratorium lwowskiego i był związany z Towarzystwem Szkoły Ludowej, z którą ojciec też współpracował. Wydawał nawet wspólnie z nimi pismo "Szkoła Ludowa".

Tak się stosunki rodzinne ułożyły, że ojciec dużo zarabiał. Dużo też dorabiał swoimi wyjazdami. W tej sytuacji matka mogła już nie pracować zawodowo i poświęcić się całkowicie wychowaniu dzieci. Mieliśmy pomoc domową, z którą stosunki zawsze były bardzo dobre. W roku 1955-ym rodzice zaobyl się

na wybudowanie niewielkiego domku rodzinnego z niewielkim ogrodem i podworkiem. Ale w tym domku każdy miał swój pokój: był pokój matki, gabinet ojca, pokój brata Andrzeja, mój pokój i wspólny pokój jadalny.

Ja zawsze byłam bardzo dobrą uczennicą z języka polskiego, z reguły otrzymywałam oceny bardzo dobre. Po przyjeździe do Lwowa chodziłam przez pół roku do prywatnego gimnazjum im. Zofii Strzałkowskiej. Jednak kiedy ojciec zobaczył na końcowym świadectwie same piątki - powiedział, że zabiera mnie z tego gimnazjum. Stwierdził, że tam musi być bardzo niski poziom, bo przecież ja jestem tępą do matematyki. Przeniósł mnie do gimnazjum Królowej Jadwigi. We Lwowie to było jedyne gimnazjum państwowe żeńskie. Było natomiast dużo gimnazjów prywatnych. Natomiast męskich gimnazjów państwowych było dwanaście. Istniało nawet gimnazjum niemieckie. Istniał też Korpus Kadetów.

Przez pewien czas byłam bardzo czynna w harcerstwie. Kiedy jednak skończyłam piętnaście lat, harcerstwo już mnie nie bawiło, zbliżyłam się do koleżanek ze starszych klas, czytałam "Kuznię Młodych", ogólnopolskiego pisma. Wspomina o tym pan Kazimierz Koźniowski w swoim dwutomowym pamiętniku "Zamknięte koła". W tym pamiętniku sporo miejsca poświęca autor Witkowi, który w przyszłości został moim mężem.

"Kuznia młodych" była adresowana właściwie do starszej młodzieży - z siódmych i ósmych klas gimnazjalnych. Ja natomiast byłam wówczas chyba w szóstej gimnazjalnej. Miałam piętnaście lat, kiedy redakcja "Kuzni" ogłosiła konkurs na pamiętnik ucznia. Ojciec nawet akurat przyniósł ten numer do domu i powiedział: wiem, że się tym interesujesz. Może byś w

tym wzięła udział. I tak się rzeczywiście stało: przepisałam swoje dzienniczki i posłałam je do redakcji. Ale po wakacjach okazało się, że "Kuźnia" już nie będzie wychodzić, bo redakcja rozpadła się. Wówczas ja się zaniepokoiłam.

W tym czasie w gimnazjum powstała - założona przez kilka starszych koleżanek - Straż Przednia. Straż Przednia - jak to napisał Koźniewski - była efemerydą, gdyż szybko skończyła swój żywot. Była to piłsudczykowska organizacja młodzieżowa. Należała do niej przede wszystkim ta młodzież, która jeździła na obozy na Nowogródczynę do Hołówkowa, gdzie Hołówko miała swoją siedzibę. W tym czasie, gdy Straż Przednia upadała w Warszawie, młodzież, ta aktywna odeszła, bo krytyczne spojrzenie na Marszałka Piłsudskiego przyszło stosunkowo późno. Z tej to młodzieży wyszli późniejsi działacze zetemesowscy, komunisty. Na przykład w "Kuźni Młodych" była Maria Zielenkówna. A Maria Zielenkówna to dzisiejsza Maria Turlejska, historyk. Niejaki Herling Grudziński jako uczeń gimnazjum z Kielc prowadził świetlaną działalność - krytykę literacką. Do Kuźnicy należał też Kazimierz Koźniewski. Było to samo pokolenie: Grudziński i Koźniewski - rocznik dziewiętnasty, ja dwudziesty, a Witek Kosiński - osiemnasty.

W Straży Przedniej miałyśmy zebrania, a działalność jej polegała na pracy społecznej. Na pięciuset uczniów w całym gimnazjum nasze koło Straży Przedniej liczyło siedem osób. Opiekowaliśmy się ochronką miejską dla dzieci nieślubnych. Codziennie - każdego dnia inna z nas - chodziłyśmy na korepetycje dla dzieci z ochronki. Będące tam dzieci były bardzo zaniedbane. Przed świętami Bożego Narodzenia naciągnęłyśmy naszych rodziców i kupiłyśmy naszym podopiecznym buty filcowe, bo było zimno i dzieci marzły w nogi.

Innym razem zorganizowałyśmy przedstawienie w szkole - w auli gimnazjum Królowej Jadwigi. Była to w zasadzie wieczornica. Zaprosiliśmy chłopców, którzy zwykle przychodzili do nas na tańce. W czasie tego spotkania recytowaliśmy. Była zbiórka recytacja wiersza Lechonia "Piłsudski":

- A on mówić nie może,
mundur na nim szary.

Tak się kończył ten, bardzo dobry, wiersz. Ponadto recytowaliśmy wyjątki z Kuncewiczowej, Haliny Górskiej - pisarki lwowskiej. Wieczornica się udała.

W lecie byłam na obozie "Straży Przedniej" w Hołówkowie. Byłam wówczas w szostej lub siódmej klasie i tam prowadziliśmy pracę społeczną. Akurat tam spaliła się wieś i wojsko ratowało gospodarzy - pogorzalców. Tam mieszkała sama biedota. Wojsko zapewniało kawę i "komiśniak" - chleb żołnierski, bardzo dobry. Do naszych zadań należał rozdział kawy i komiśniaku między ludność wiejską. Mieszkańcom organizowaliśmy teatr kukielkowy. Na nasze spektakle zapraszyliśmy dzieci wiejskie, a przy tej okazji na kako.

Organizowaliśmy też ogniska, przy których trwały nasze dyskusje. Zajmowaliśmy się też pielaniem ogrodów w Hołówkowie. Na jedną z wieczornic przyszli chłopcy, którzy byli w pobliżu, na obozie. Znowu były tańce i występy. Inscenizowano na przykład "Stokrotkę" - Gdzie strumyk płynie z wolna; jedna z nas lała powoli wodę z butelki, a pozostałe śpiewały: gdzie strumyk płynie z wolna. Trzeba przyznać, że humoru i decypu nam wtedy nie brakowało.

Ideologiem "Straży Przedniej" był Adam Skwareczyński. Pamiętam, że miał bardzo czarne, przejmujące oczy. Właściwie na-

czelnym zadaniem "Straży Przedniej" było ustrzeżenie młodzieży przed zbytnim radykalizmem. W rezultacie - jak już mówię - część młodzieży poszła do komunistów, część została demokratami czy socjalistami. Różnie z tym bywało.

Na naszych obozach dominował czynny wypoczynek. Wracam do sprawy pamiętnika: "Kuznia" się rozwiązała, Straż Przednia w Warszawie upadła. I wówczas pomyślałam sobie: skoro "Kuznia" się rozwiązała, co się stało z moim pamiętnikiem? Wówczas napisałam na adres "Kuzni" bardzo ostry list z żądaniem zwrotu pamiętnika. Po tygodniu dostałam list napisany na dwanaście stron, pismem pięknym, kwiecistym. Nadawcą był Wittek Kosiński, który prawdopodobnie przejął całe archiwum po "Kuzni". Zapewniał mnie, że wkrótce będzie wychodzić nowa kuznia. List zaczynał się od słów "Miła Koleżanko". Autor zapewniał mnie, że ^{pamiętnik} ~~list~~ nie zginął i że w każdej chwili może być odesłany.

List kończył się propozycją, że jeśli zechcę, to mogę do niego napisać - i podano adres.

Po tym liście odczekałam dziesięć dni - żeby sobie nie pomyślał, że mi tak bardzo na nim zależy - i odpisałam. I tak zaczęła się nasza korespondencja. Już drugi list do mnie on za tytułował "myszko", bo tak mnie wołano w domu, w szkole i wszędzie. Ja odpisałam "witku" i już byliśmy na ty. Zaczęliśmy szeroką korespondencję - raz na tydzień list był.

Witek współpracował z "Kuznią Młodych". Pochodził z Białegostoku, gdzie się urodził. Jego ojciec był postacią bardzo znaną na Białostocczyźnie. Był pierwszym redaktorem i wydawcą "Gazety Białostockiej". Gdy przychodzą Zaduszki, to na cmentarzu są kwiaty i od Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich i od

Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej. Był bardzo zasłużony dla Białostoczczyzny, profesor matematyki, który kształcił się w Petersburgu dzięki jakiemuś zamożniejszemu kuzynowi. Pochodził z Kosiątki. Nie wiem dokładnie z której. Sądziłam, że z Kosiątki z powiatu siemiatyckiego, gdzie zamieszkuje Kosińscy spowinowaceni z nim, bo mój teść pochodził z innej Kosiątki.

Po skończeniu studiów w Petersburgu był nauczycielem w gimnazjum. Oprócz nauczania był dziennikarzem, zakładał Polski Towarzystwo Krajoznawcze. Zajmował się też tajnym nauczaniem w czasie okupacji.

Witek skończył gimnazjum im. Zygmunta Augusta w Białymstoku. Maturę zdał w wieku szesnastu lat / był rocznik 1918-ty/ i samodzielnie wyjechał z Białegostoku do Warszawy, aby samodzielnie studiować w Warszawie na Wyższej Szkole Dziennikarskiej. Dostał się na te studia, a jednocześnie związał się ze Związkiem Polskim Młodzieży Demokratycznej. Ta organizacja wydawała pismo "Przemiany", tygodnik, a Witek tam został sekretarzem redakcji. Miał jednocześnie całe archiwum "Kuźni", tak przynajmniej pisze Kozniowski.

Miał liczne związki z młodzieżą studencką Warszawy. Znał Martę Wańkowiczówną i bywał u Wańkowiczów. Współpracował z teatrem "Parabumba", o czym też wspomina Kozniowski.

Równocześnie współpracował z "Orką", którą założył Drewnowski, autor "Cynki". Jerzy Drewnowski był studentem ekonomii. W "Orce" pisał Jan Strzelecki, socjolog, niedawno zamordowany, Herling-Grudziński. Zachował się jeden skoroszyt artykułów Witka, które pisał do tego pisma. W ogóle miał dużo pracy: organizował "Nową Kuźnię", współpracował z "Przemianami".

We wrześniu 1937-go roku, na dzień przed moimi urodzinami przyjechał do Lwowa, żeby poznać się osobiście ze mną.

Jakoś tak szybko to się stało, że postanowiliśmy zostać małżeństwem. Myślałam początkowo, że plany małżeńskie staną się realne dopiero wówczas, gdy skończę studia. A ja wówczas byłam w siódmej klasie gimnazjalnej.

W tym mniej więcej czasie jego ojciec - Konstanty Kosiński - został dyrektorem gimnazjum w Prużanie na Wołosiu. Tam właśnie pojechałam przedstawić się rodzinie i spędzić święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok. Samego Kosińskiego przeniesiono z powrotem do Białegostoku przed samym wybuchem wojny. W Prużanie spędziłam swoje ostatnie wakacje.

Co do moich studiów - wszyscy myśleli, że wybiorę polonistykę, a mnie interesowała praca społeczna. Mój ojciec miał kontakty z panią profesor Radlińską w Warszawie, która założyła Studium Społeczno - oświatowe przy Wolnej Wszechnicy Polskiej, która z kolei powstała z "kursów latających". Wykładali tam: Chałasiński, słuchałam wykładów Korczaka. Wszechnica była bowiem przewidziana dla nauczycieli, którzy przyjeżdżali na rok, podczas płatnych urlopów, na dokształcanie się. Natomiast studium było przewidziane dla maturzystów. Na tym studium - rok wyżej ode mnie była Szmaglewska.

Powodem, dla którego mój ojciec utrzymywał kontakty z Radlińską było dążenie ojca do założenia podobnego studium we Lwowie. Powiedział mi wówczas: Tu, we Lwowie studium będzie dwuletnie. Natomiast w Warszawie ma ono już ustabilizowaną pozycję i będzie czteroletnie. Wybieraj - jak chcesz. Ja powiedziałam, że chcę do Warszawy. Ojciec powiedział, że podziela moje zdanie.

Pojechałam więc do Warszawy na rok akademicki 1938-39. Tu poznałam niektórych kolegów Witka.

Studium miało jakby trzy kierunki: oświata pozaszkolna, opieka społeczna i bibliotekarstwo. Gdybym już miała wybierać wybrałam bym oświatę pozaszkolną, ale wybór następował dopiero po dwóch latach. Wrazie zajęcia odbywały się wspólnie.

Panią profesor Radlińską myśmy nazywali "babcią". Po wojnie nasze studium przeniosło się do Łodzi, bo Warszawa była bardzo zniszczona. Wiele oryginalnych pomysłów można było znaleźć właśnie wśród słuchaczek, które były zgromadzone właśnie przy "babci".

Nie wiedziałam wówczas - dowiedziałam się dopiero później od pewnej pani, która napisała "Od prządki do astronautki", "Z orlego gniazda" - że ta pani też była słuchaczką /dawną/ pani profesor Radlińskiej. Ta właśnie pani - po wojnie - zapytała mnie: czy pani wie, że "babcia" była na Sybirze? Odpowiedziałam, że nie wiedziałam.

Wszyscy ci ludzie, o których mówię, to taka bardzo szlachetna lewica polska.

W czasie studiów odbywaliśmy praktyki: tydzień w ośrodku pomocy społecznej, gdzie trzeba było przeprowadzać wywiady rodzinne. Być może, że to trwało nawet dwa tygodnie. Po tych wywiadach należało napisać sprawozdanie.

Pamiętam, jak podczas przeprowadzania tych wywiadów bolałam nad losem bezrobotnych, którym udzielano miesięcznie zasiłek pieniężny w wysokości piętnastu złotych oraz kawałek mydła.

W maju zaczynały się zapisy do szkół powszechnych. Nasze studium miało specjalny ośrodek doświadczalny, który przyjaź-

nił się ze szkołą na Ochocie. Tam, gdzie teraz jest ulica Wolnej Szechnicy Polskiej, tam była ta szkoła. Ale wówczas to były dalekie pola w stosunku do Warszawy. Było tam ciemno, była to biedna dzielnica. Tam właśnie zapisywano dzieci do szkół. Z inicjatywy studium studentki były przy zapisie do szkół i przeprowadzały czterostronnicowy wywiad z każdą matką. Z tego okresu pozostało mi w pamięci rozrzewnienie w oczach tych robotnic i bezrobotnych matek wówczas, gdy miały opowiedzieć o rozwoju swojego dziecka.

Ankieta była bardzo szczegółowa: jak się dziecko urodziło, czy było zdrowe. Były też i takie pytania jak na przykład czy dziecko się moczy i ewentualnie kiedy przestał się moczyć. Była to bardzo szczegółowa ankieta, opracowana przez psychologów i socjologów, która wychowawczynie w szkole miała dać pełny obraz szkoły/klasy/. Uważam, że bardzo słuszny był kontakt z matkami przy zapisie, a nie przez psychologa, który najczęściej ma pod opieką kilka szkół. Dziś istnieje kontakt jedynie przez psychologa, który najczęściej ma pod opieką kilka szkół oraz na podstawie świadectwa lekarskiego. Ankieta zawierała bardzo dokładny opis środowiska, warunków materialnych i moralnych.

Pojechałam do Warszawy i postanowiliśmy z Witkiem, że się pobierzemy. Witek nie miał jeszcze wówczas dwudziestu jeden lat, wymaganych do zawr^ucia małżeństwa, a ja miałam wówczas osiemnaście i pół. W tej sytuacji Witek uzyskał pisemne zezwolenie od ojca na ślub. W rezultacie wzięliśmy ślub w Kościele Świętego Krzyża w kaplicy Matki Boskiej, a następnie pojechaliśmy na wakacje. Najpierw pojechaliśmy do Prużany, skąd wyruszyliśmy na dwutygodniową wędrowkę po Nowogródczyźnie. By-

liśmy w Lidzie, wołkowysku, rrażanie, a w Kosowie Poleskim to zainteresował się nami policjant, kiedy czekaliśmy na pociąg. Chodziło o to, że w pobliżu była Bereza Kartuska i on sądził, że jesteśmy jakimiś agitatorami. Zwykle chodziliśmy pieszo, ale tym razem postanowiliśmy odbyć podróż pociągiem, bo zostało nam ostatnie dwadzieścia kilometrów.

To były bardzo dobre wakacje. w sierpniu pojechaliśmy do Lwowa. Tam, w domu moich rodziców - zastała nas wojna. Wkrótce lwowskie dworce zapełniły się uchodźcami z poznańskiego i ze Śląska. Cała grupa dziewcząt: maturzystek, studentek, a także moja matka - poznałyśmy się z panią Marią Wierzyńską, dyrektorką szkoły sióstr Dominikanek, bratową poety Kazimierza Wierzyńskiego.

Uchodźców karmiliśmy wojskowym chlebem. Oni zaś zalegali pokotem na słomie domy akademickie i szpitale. Lwów dzielnie bronił się przed hitlerowcami do czasu, aż nadeszli Rosjanie. Kiedy oni przyszli - odetchnięto z ulgą. Moja matka i brat brali udział w obronie Lwowa przed hitlerowcami. Mnie i Witolda nie było w mieście podczas obrony Lwowa. Uciekliśmy aż do Borysowa. wróciliśmy do moich rodziców i do brata Andrzeja po wkroczeniu Armii Czerwonej.

Po pewnym czasie pani dyrektor Wierzyńska zebrała u siebie w domu kilka dziewcząt, absolwentek różnych gimnazjów lwowskich, zaprosiła moją matkę i powiedziała, że powstaje - najprzede w tajemnicy - tajna organizacja, której zadaniem będzie tworzenie Legionów Polskich u boku Armii Czerwonej i obie te armie wspólnie pójdą na Niemców. Istniał już sztab organizacji, którym kierował odepchnięty przez Piłsudskiego słowianofil - gen. Januszajtis. Natomiast dziewczęta miały

pełnić rolę łączniczek między sztabowcami a generałem. Dla rozpropagowania idei legionów wydane zostały ulotki. Ale na razie "cicho - sza", na wszystko przyjdzie czas.

Wnie zlecono kontakt z pewnym lwowskim urzędnikiem. Olga Banszył - córka pastora ewangelickiego, moja koleżanka z klasy oraz Ela Jurkiewicz - absolwentka szkoły krawieckiej, Wandzia Boner od Urszulanek chyba, Kazia Korczyńska i Stacha wanatówna i Maryla Motylewska / była trochę starsza od nas / - nie pamiętam już, jaką szkołę kończyła - dyżurne z gimnazjum od zakonnice miały też swoje kontakty z naukowcami u ludzi różnych zawodów.

U swego kontaktu byłam raz, przedstawić się. Potem wzięłam pięć ulotek wzywających Polaków do tworzenia Legionów i zniosłam je do jednej z moich koleżanek. Nie wiem dlaczego nie poleciałam z ulotkami do byłych strażaczek lub członków Lwowskiej Młodzieży Demokratycznej, powiązanych ideowo ze Związkiem Polskiej Młodzieży Demokratycznej, której przewodzili: Jerzy Ledzki - Sołtysik, Jan Lech, Wiesław Opałek, bracia Babilowicze, Włodek Czachowski i Zdzisław Żygulski.

Witek sceptycznie zapatrywał się na moją działalność. Miał swój krytyczny pogląd na osobę Januszajtysa, nie mieszał się do tych spraw, nie dopytywał się, nie znał moich kontaktów i dyskutował po kawiarniach z przyjaciółmi.

Nagle, 19-go października 1939-go roku na rodzinę spadł pierwszy cios. Brat Andrzej, uczeń pierwszej licealnej czyli klasy przedmaturalnej trzeciego Państwowego Gimnazjum męskiego został niespodziewanie aresztowany w szkole. Dyrektor nie zawiadomił o tym fakcie rodziców. Długo czekaliśmy na jego powrót, aż wieczorem ojciec wybrał się do mieszkania dy-

rektora. Co Andrzej robił i dlaczego go aresztowano - nikt nie wiedział. Wówczas rzuciliśmy się do jego biurka, w którym znaleźliśmy dziecinną drukarenkę. Co drukował - nie wiadomo. Ojciec miał zamiar skomunikować się z adwokatem Randauen, który przed wojną mieszkał w Krakowie i bronił komunistów - ale my nie byliśmy komunistami. Sądziliśmy, że władze radzieckie adwokata z taką przeszłością dopuszczą do obrony. Tenże adwokat w czasie wojny osiadł we Lwowie.

23-go października - wczesnym popołudniem do naszego domu przyjechali dwaj funkcjonariusze NKWD po matkę. Właśnie prała bieliznę w łazience i była ubrana w stare, zniszczone półbuciki.

- Czy jadę zobaczyć się z Andrzejem?

- Da, da.

Tak jak stała, narzuciła na siebie cienką jesionkę, zielony, wełniany szalik, brązowy beret, do półbucików wsunęła wełniane skarpetki i pojechała. Kiedy witek wrócił z miasta, oboje czekaliśmy na powrót matki. Wrócił ojciec. Poczuł się zagrożony w kuratorium, w którym pracował. Nie wszystko w pracy układało się dobrze z nowymi władzami. Postanowił ukrywać się. Powiedział nam: gdyby matka wróciła, zapalcie w jej pokoju lampę. Tego dnia lampy nie zapaliliśmy.

Nazajutrz - 24-go października 1959-go roku poszłam do adwokata Randaua. wysłuchał i obiecał pomoc. Tego samego dnia pod wieczór przyszedł kurator Kopczyński. Był wyraźnie zdenerwowany i pytał o ojca. Właśnie rozmawialiśmy w dużym pokoju przy lampie, gdy zadzwoniono do futki. Było to NKWD, które przystąpiło do rewizji. Dwaj żołnierze bardzo pobieżnie przeszli kąty i wrócili pod lampę. Jeden z nich zwrócił się do

mnie ze słowami:

- Kak was zowut?
- Maria Kosińska.
- Córka Henryka?
- Tak.
- To sobirajties s nami.

Nagle opadł mnie strach:

- Dokąd mam jechać? Boję się. Prawdopodobnie jestem w ciąży, ponieważ drażni mnie zapach gotowanych ziemniaków i jabłek. Boję się tych obcych ludzi. Nie pojedę. I zaczęłam płakać.

I wówczas stanął przy mnie Witold, który oznajmił zdumionym funkcjonariuszom:

- Żona denerwuje się, jest w ciąży. Miejcie wzgląd na to. Następnie zwrócił się do mnie:

- Nie bój się Myszko. Pójdziemy razem i wszystko wyjaśnimy.

Uspokojona nieco włożyłam sukienny, gimnazjalny płaszcz i szary beret. Witek też nałożył starą jesionkę, nałożył czapkę cyklistówkę. Wsiadliśmy do czekającego przy furtce samochodziku i przytłeni do siebie ruszyliśmy. Po drodze Witek mówił:

- Nie będzie tak źle. Wytłumaczymy tam wszystko i wrócimy. Ostatecznie, gdyby nawet nas aresztowano, to jako małżeństwo będziemy w jednej celi.

W drodze rozmawialiśmy i żartowaliśmy z funkcjonariuszami aż do wrót potężnego gmachu przy ulicy Feliczyńskiej. Tu okazało się, że nas rozdzielają.

Po krótkim przesłuchaniu około godziny drugiej w nocy znalazłam się na Zamarstynowskiej w przedwojennym wojskowym wię

zieniu. Tu, podczas rewizji odebrano mi szalik, pasek od płaszcza, sznurowadła i obrączkę. To wszystko zapisano na kwicie i wepchnięto mnie do karceru. Była tam drewniana prycza oraz nieopalana rura od pieca. Dyżurny podglądał przez "judasz", gdy tak stałam oszołomiona, nic nie rozumiejąc.

Zdjęłam płaszcz i zawiąawszy się na pryczy, zasnąłam. Z karceru - rankiem - poprowadzono mnie przez korytarz, następnie przez podwórze i znowu przez korytarz, po którego obu stronach mieściły się cele. Było ich razem sześć. Otwarto ze zgrzytem ciężkie, okute drzwi celi drugiej na prawo. Była to cela numer 47, przedwojenna pojedynka przedwojennego więźnia wojskowego. Już zapomniałam, jakie miała wymiary, ale jak na pojedynkę była to zupełnie przestronna cela.

Umeblowanie stanowiły dwa żelazne łóżka, przykryte siennikami. Był też piec żelazny z drzwiczkami od korytarza. Ponadto było wiadro z wodą, stołeczek na chleb, kubki i blaszane łyżki no i parasza czyli toaleta - kibel przykryty przykrywką.

W celi były cztery kobiety: dwie starsze - po pięćdziesiątce - i dwie młode. Powiedziałam "Dzień dobry". Po bliższym przyjrzeniu się stwierdziłam, że to nie są kryminalistki, jak mi się na początku zdawało. Nie wiem dlaczego moim pierwszym pytaniem było: czy tu dają jeść? Okazało się, że dają: z rana cukier, chleb i zupę, na obiad zupa oraz czarna kawa na kolację. Wkrótce dyżurny wypuściła nas do łaźnik. Po powrocie usiadliśmy w kocach na łóżkach i rozpoczęliśmy rozmowę.

Stefanię wróblową aresztowano wraz z mężem i synem za przynależność do ppeesowskiej organizacji kolejowej. Magne-

sowa stołowała przed woją policjantów, a może nawet i tajników. Marysia Gibieniowa miała męża w "dwójce" i sama też tam pracowała. Dwudziestokulkuletnią Halinę Giulik ujęto na ulicy z rewolwerem. W dwie godziny po mnie wprowadzono Marysię Zadkę, studentkę pierwszego roku, członkinię organizacji endeckiej.

Nie umiałam zrozumieć tego wszystkiego. Myślałam o Andrzeju, matce, Witoldzie oraz o dziecku, które ma się urodzić. Przepłakałam pół dnia. Powiedziałam współtowarzyszkom o dziecku. Były tą wiadomością bardzo przejęte, a Wróblowa kazała mi natychmiast przestać płakać. Wieczorem chleb został całymi bochenkami na stołku. Ogryzłyśmy tylko skórkę. Przez całą noc w celi świeciła się lampa. Spałyśmy w piątkę na dwóch łózkach. Rano próbowaliśmy stukać w sąsiednie ściany. Odstukiwano nam, ale alfabetu nikt nie znał.

Tego dnia zaprano mnie do śledczego. Szło się obok dyżurki, na drugie piętro, a następnie żelaznymi, krętymi schodami, jak na wieżę Baby Jagi. Strach podchodził do gardła. Starłam się być spokojny. Przy tłumaczu spisano personalia, a następnie zapytano o organizację Januszajtysa, na które to pytanie nie chciałam odpowiadać. Po godzinie zaprowadzono mnie do celi. Tego dnia wydano nam więzienną bieliznę - koszulę i kalosony z białego płótna, na którym widniały pieczętki: Składnica więzienna w Wiśliczu. Wtedy przyszła do celi Halina Reszplewiczowa. Poderwał nas z korytarza kobiecy krzyk - Moje dziecko, moje dziecko!. Otworzono sąsiednią celę i kogoś tam wprowadzono. Wówczas zorientowaliśmy się, że w celi 46 jest też kobieta. Następnie numer 46 otworzono, kogoś wyprowadzono i z kolei przekręcono klucz w celi 47.

Była to Raszplewiczowa. Była w jesiennym kapelusiku, piaszczu i wiatrówkach na nogach. Z papierosem w ustach oparła się o piec i rozszerzonymi oczami patrzyła na nas. Ciecieniowa nie wytrzymała: z oczyma utkwionymi w papieros, w więziennej koszuli i futrze odwróconym podszewką do góry, rozczochrana, zsunęła się z łóżka i podeszła do nowicjuszki.

- Daj pani tego papierosa, powiedziała ochrypłym głosem. Zaskoczona Raszplewiczowa oddała jej papierosa.

Zaczęliśmy się do niej uśmiechać do niej i poprosiliśmy ją, aby usiadła i uspokoiłyśmy, żeby się nas nie bała, bo ni jesteśmy zawodowymi kryminalistkami.

Mąż Raszplewiczowej - zawodowy oficer - przedostał się na węgry. Ją zabrano z mieszkania rozdzielając z matym synkiem. Dwuletni Zygmunt został sam w łóżeczku. Raszplewiczowa nerwowo zastanawiała się co będzie, gdy dziecko się obudzi. Jej siostra mieszkała przy tej samej ulicy, której adres ona przekazała NKWD-yście, który pozostał w mieszkaniu z dzieckiem.

Po wielu latach - stosunkowo niedawno - gdy "Przekrój" zaczął drukować na stronie 10-tej różne materiały - wyczytałam, że jakiś Zygmunt Raszplewicz oddał do Muzeum Wojska Polskiego pamiątki po swoim ojcu. Nie wiem. Czy to może być ten Zygmunt? Jeśli tak, to pozostawiony NKWD-ysta rzeczywiście zaprowadził dziecko do siostry Raszplewiczowej.

Tej nocy nie mogłyśmy już pomieścić się na łóżkach. Dwie z nas spały na podłodze, na kocu. Następnego ranka Wróblowa kazała mi zatrzeć podłogę i w ogóle kazała mi ruszać się, bo jestem w ciąży, żeby poród nie był ciężki. Po śniadaniu ponownie wezwano mnie na śledztwo. Przesłuchujących oficerów było dwóch. Nie chciałam im nic powie-

wiedzieć. Grozili mnie biciem, ale nie bili. Jedyną karą było to, że przez pięć minut musiałam stać na baczność. W pewnej chwili do pokoju wpadł trzeci oficer. Miał buldogowatą twarz i przekrwione oczy. Krzyknął do mnie:

- Januszajtysa znasz?

- Znam.

Generała Januszajtysa widziałam raz.

- Zagrodzkiego znasz?

- Znam.

Zagrodzki był ludowcem i kolegą Witka.

Po tych słowach ten trzeci wybiegł z pokoju, a pozostali dwaj nadal prowadzili śledztwo, podczas którego grożono mi konfrontacją z Witoldem.

W pewnej chwili pokazano mi kartkę pisaną rzekomo przez matkę, w której świetnie podrobionym pismem napisano: "Myszko powiedz prawdę, bo ja wszystko powiedziałam". Na końcu był dopisek: "Całuję cię mocno. Matka". A tymczasem matkę upewniano, że jestem w domu.

Następnie znalazłam się w innej sali: dużej, na parterze, w której było dużo oficerów. Mówili do mnie Marusia i zagadywali oraz namawiali przez tłumacza do zeznań: powiedz nam wszystko, a pójdziesz do domu.

Po obiedzie odprowadzono mnie do celi. W celi była już Stacha Wanat od Januszajtysa, którą zabrano z biura. Płakała, myśląc o swej matce. Koleżanki z celi zostawiły mi trocnę kapuśniaku, ale był bardzo zimny. Zresztą po kilku łyżkach wpadł do celi dyżurny:

- Na bukwu "K" ?

- Kosińska.

- Dawaj.

Znowu szłam po krętych schodach, znów namawianie do zeznań i ponownie groźba konfrontacji z Witkiem. Doszliśmy do małej celi. Był z nami jeden oficer i tłumacz. W kącie siedział Witold. Mnie posadzono na krześle w przeciwległym kącie pokoju.

- Kto to jest?

- Mój mąż - usmiechnęłam się.

- Kto to jest? Zapytano Witolda.

- Moja żona - usmiechnął się.

Następnie odpowiedział na kilka pytań i poprosił o umożliwienie powiedzenia kilku słów: "Nie ma co ukrywać. Oni wszystko wiedzą. Powiedz prawdę".

Zanim po tych słowach zdążyłam się ocknąć, wyprowadzono mnie do sąsiedniego pokoju. Wówczas po raz ostatni widziałam Witolda. Było to 27-go października 1959-go roku.

Wszystkie prawie łączniczki i sztabowcy byli aresztowani. Januszajtys też. Chodziły słuchy, że Januszajtys obradował w pokoju, w którym było 200 osób. I wówczas urządzono kocioł. Jak się później dowiedziałam z historii AK - drukowały to później "Kierunki", że przed powstaniem AK Januszajtys był zastępcą albo Boruty - Spiechowicza albo Tokarzewskiego. Januszajtys został aresztowany w trzy dni po mnie - 26-go października.

Więcej już mnie nie wzywano na śledztwo. Wezwano mnie jedynie na uzupełnienie zeznań, a następnie odesłano do lekarza z uwagi na moją ciążę.

Koleżanki powiedziały mi, że gdy mnie nie było, przyprowadzono do celi kobietę ubraną w jesionkę i beret, która położyła się na podłodze i zasnęła. Przed moim powrotem wśród dyżurnych wszczął się popłoch: zaczęli trzaskać drzwiami, wpad

li do celi i wyprowadzili "borecik". Coś mnie tknęło: zaczęłam wypytywać o szczegóły. Z opisu wyglądu i ubrania wszystko się zgadzało: w celi była moja matka. Matka była "Maryja Karłowna", a ja "Maryja Jędrychowna". Obsługa więzienia pomyliła "otczestwo" i byłybyśmy razem.

Jak wspomniałam - od dnia 27-go października przestano wzywać mnie na przesłuchania. A wróblowa śpiewała. Miała ładny głos i do łez wzruszała wszystkich:

- Otwórz Janku swoje okno,
- otwórz chatę swoją.

wieczorem za oknem szumiały samochody. To oznaczało, że przywieziono nowych.

Olę Banzel przywieziono jedenastego grudnia, prawie w trzy miesiące po aresztowaniu mnie. Była usmiechnięta i zaraz znalazła się obok mnie. Jej ojciec - Karol Banzel - pochodził z Zaolzia i był trzykrotnym powstańcem śląskim. Czesi więzili go trzykrotnie. we Lwowie był polskim pastorem i dzielił zbor razem z Niemcami. Jednocześnie był kapelanem wojskowym w stopniu pułkownika. NKWD pytało mnie o Karola Banzela. Wahałam się - co powiedzieć. Powiedziałam: ksiądz. Bardzo się tym zdziwili, zanotowali i więcej nie pytali. Aresztowano go i wywieziono z §56 podpunkt 13 /przesiedlenie administracyjne/ w kwietniu 1940-go roku. Jednocześnie wywieziono do północnego Kazachstanu do Ałtajskiego Kraju - do Semipałatyńska żonę z trzema córkami. Pani Banzelowa Wiktorie znalazła się później z córką w Armii Andersa. Później mieszkała w Anglii. Pani Banzel była w Polsce w 1968-ym roku i wybaczyła mi. Powiedziała, że mąż wiedział, że go aresztują. Pani Wiktorie zmarła w Anglii w 1971 roku. 29 stycznia 1974r

zmarła w Anglii Olga z Banszelów Rybołowiczowa. Jej siostry żyją na emigracji. Od kwietnia 1940-go roku po Karolu Bansze-
li ślad zaginął.

Olga miała ze sobą zielony grzebień. Pamiętam, jak obie le-
żałyśmy na łóżku i wspominałyśmy Wisłę i fale nabrzeżne. O-
gromną ulgę sprawiała nam świadomość, że istnieje świat i
przyroda, że istnieje na świecie słońce i woda.

Razem z Olgą przyszała pani Nissan - Kozicka, bohaterka
przedwojennego procesu z Marią Kozicką. Obydwie były autor-
kami procesu "Burza ze wschodu". Nissan - Kozicka była białą
emigrantką, a Dunin - Kozicka była Polką. Obie wzajemnie os-
karżały się o kradzież tytułu.

Kiedy Olga i Nissan zjawiły się w więzieniu, reżim wię-
zienny był już bardzo surowy, surowszy niż poprzednio. Ku roz-
paczy kobiet okna pomalowano białą farbą. Wyniesiono z celi
jedno łóżko, a dodano sienniki. Ja, grubiejaca - spałam z Wró-
lową na łóżku, a reszta na podłodze. W dzień nie wolno było
głośno rozmawiać, śpiewać, śmiać się. Miski blaszane zamienio-
no na drewniane. Do łaźni prowadzano nas raz na dziesięć dni.
Nie było możliwości obcięcia paznokci. Ubrania ciągnane po bar-
łogach szybko się niszczyły, nie było gdzie powiesić płaszczy-
nie dawano igły i nici. Mydła otrzymywałyśmy niewielkie ilość-
ci. Pewnego dnia usłyszałyśmy z sąsiedniej celi krzyk "wesz".
Tego dnia wszystkie poprowadzono do łaźni, ale tam woda była
zimna, włosy polepiły się i wróciłyśmy wściekle.

Raszplewiczową, gdy wracała ze śledztwa, przynosiła biały
chleb i papierosy. Papierosami dzieliła się z niektórymi. Wnie-
dawała chleb. Koleżanki mówiły ze śmiechem: będzie zdrowy chłó-
pak na więziennej kaszy i na tym chlebie. Wówczas w celi uży-

wałam jak najwięcej ruchu- zmywałam codziennie podłogę i spacerowałam, podczas gdy one siedziały na złożonych sieniach. Cztery kroki w przód, cztery z powrotem - od pieca do kibla. Tylko w "ubornym"/toaletcie/ człowiek był szczęśliwy, chociaż coraz częściej popędzano z toalety. Myłyśmy się zimną, lodowatą wodą, bo krew szybciej krążyła i nie odczuwało się później chłodu.

Sibieniową i Markelową zabrano z początkiem listopada. Przybyła natomiast Witkowska, właścicielka pensjonatu w Sławsku, oskarżona o przeprowadzanie na Węgry. Przybyła też Helenka Szotówna. Miała siedemnaście lat i została ujęta na granicy podczas przenoszenia listów ze strony niemieckiej na węgierską. Była bardzo dobrą dziewczyną i chętnie zmywała miski po jedzeniu.

Dyżurni byli różni - wśród nich wielu poczciwych cniopaków. Jeden z nich - pies - noszący skórzane rękawiczki, wylegantowany - stał na nas wrzeszczał /dlatego przezwisko "Pie Najwięcej zatargów było z Haliną Siulik, która często zachowywała się bardzo niespokojnie, co później odbijało się na całej celi. Zamalowywała mydłem "judasz" w drzwiach, a na krzyki dyżurnego odpowiadała niezmiennie: ja ciebie nie rozumiem. Było to o tyle prawdziwe, że wówczas jeszcze żadna z nas nie znała języka rosyjskiego.

Wracam do dnia 21-go listopada, kiedy to na korytarzu panował duży ruch. Ustawicznie zamykano i otwierano cele. Nie wiedziałyśmy, co o tym sądzić tym bardziej, że nazajutrz znów to się powtórzyło. Dyżurny wywołał mnie - miałam paczkę. Zawążyłam wełniany, kraciasty ojcowski koc. Wówczas zaczęłam szlochać. Kazano mi się uspokoić podając chustkę do otarcia łez

Odczytano spis rzeczy: koc, flanelowa bluzka piżamowa, reformy, koszule, chustki do nosa, mydło, szczotka, przeczek do zębów i wełniana kamizelka Witolda. Odpisałam i weszłam do celi. Koleżanki rzuciły się do oglądania rzeczy i zaczęły płakać. Od tego momentu byłam prawie pewna, że moje dziecko urodzę w więzieniu. Już wiedziałam, że otulę je w bluzkę flanelową i sweterek Witolda.

Dziecko stale rosło i zachodziła ^{konieczność} rozpruwania szwów spódniczki.

15-go grudnia Nissan - Kozicka "wtoczyła się" do celi z puchową kordką pod pachą i wielkim, czarnym kapeluszu.

- Jak was może tkwić tak dużo osób w tak małym pokoiku - zawołała już na początku z pretensją. Ustąpiono jej zaraz miejsca z szacunkiem, chociaż już za chwilę sama zaczęła się rozpychać, że nie mogliśmy sobie dać z nią rady. Była bardzo agresywna. Podobno przez kilka lat siedziała w obozie w łagrze sowieckim. Opowiadała nam o małżeństwach łagiernych, o pokojach w barakach i kwiatkach. A nas strach ścisnął za gardło na myśl: a jeśli i nas wywiozą?

Wróblowa twierdziła, że to nie jest możliwe: coż by z nami robili? - mówiła: mało to mają swoich? .

W połowie grudnia było nas w celi dwanaście. Miejsca brakowało i było strasznie ciasno: dziewczęta stały jak sardynki w beczce. Nocą przewracaliśmy się na komendę. O to nieszczęsne spanie ciągle toczyły się wojny. Pojawily się wszy i na tym tle dochodziło coraz częściej do sprzeczek. Powszechnie mówiono, że wszy hoduje Witkowska ponieważ nie chce się myć i nie rozbiera się na noc.

Widok świeżych twarzy nowicjuszek przypominał o spacerach.

W dodatku długo nietrzepane koce były pełne brudu. Trzeba było działać. Na propozycję Nissan - Kozickiej postanowiliśmy urządzić głodówkę ponieważ ona twierdziła, że to jest nado-
godniejsza forma nacisku. Dyskutowaliśmy na ten temat przez całą noc. Wreszcie zapadły stosowne postanowienia: rano nie wstajemy, nie bierzemy śniadania, nie pójdziemy do ubikacji lecz będziemy domagać się naczelnika więzienia. A dalej, zobaczmy.

I tak się zaczęło. Rano, kiedy wszystkie cele przystąpiły do porannych zajęć i kiedy nadeszła kolej na naszą celę nr 47, żadna z nas nie ruszyła się. Próżno do nas stukano. Dyżurny wrzeszczał, ale gdy i to nie pomogło - otworzył celę 45 i wypuścił tamte kobiety. Wezwano groźnego "Psa". Myśmy nie odzywały się ani słowem.

Nadeszła pora śniadaniowa. Kotły już czekały, ale żadna z nas nie ruszyła się z miską po zupę. Swoje miski i łyżki pochowaliśmy pod kółko. Na korytarzu z naszego powodu panował wielki ruch. Cieszyliśmy się z tego i domagaaliśmy się widzenia z naczelnikiem więzienia. W celi było brudno i duszno - śmierdziała parasza. My byliśmy niaumyte, rozczochrane - widok był okropny.

Wreszcie przyszedł naczelnik. Był w towarzystwie jednego z oficerów, a cała grupa "pomagierów" czekała za drzwiami. Kozicka, w imieniu całej celi wygłosiła po rosyjsku mowę: o braku mydła, braku gwoździ w ścianie, braku "bani", nieobciętych paznokciach, brudnych kocach i ciężarnej "żenszczyźnie". Naczelnik krzywił się z niesmakiem i natychmiast pozwolił otworzyć okno. Zapowiedzieliśmy, że w razie niespełnienia naszych prośb żadnego jedzenia nie przyjmujemy. I wygrażyliśmy,

głodówka trwała godzinę. Wkrótce zjawiała się siostra z nożyczkami, aby poobcinać paznokcie, które dotychczas ogryzałyśmy albo piłowałyśmy o łóżko. Następnie przyniesiono kilka gwoździ, na których zawiesiliśmy płaszcze, całą celę wypuszczono do ubikacji, a następnie przez godzinę pluskałyśmy się w gorącej wodzie w łaźni. Pozwolono zabrać nasze koce, które na podwórzu, pod oknem celi w towarzystwie dyżurnych zaczęłyśmy trzepać. Kiedy już miałyśmy wracać na korytarz, Helenka szepnęła do mnie: popatrz na okno 45.

Popatrzyłam. Okno było uchylone. Migąły w nim różne twarze. I nagle zobaczyłam matkę, która była w sąsiedniej celi. Byłam bardzo wzruszona przechodząc pod drzwiami tamtej celi powiedziałam: jestem zdrowa, mamo.

Od tego czasu zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Po zaspokojeniu podstawowych żądań dziewczęta osmieliły się i rozzuchwalały i postanowiły przekazać alfabet więzienny innym celom. Raszplewiczowa, która miała najpiękniejszy głos oświadczyła na korytarzu: "Abecadło - cztery litery w pięciu rzędach". Celowo powiedziała "abecadło", a nie alfabet, bo to słowo strażnicy by zrozumieli. Od tego czasu rozpoczęło się systematyczne pukanie do celi kobiecej 45 i męskiej 48.

Po jakimś czasie opanowałyśmy dobrze alfabet, wypisany wypaloną zapażką na pudełku zapałek. Natomiast nasi sąsiedzi dopiero musieli się uczyć - ale nauczyli się. Coż to była za radość, gdy wystukali do nas "dzień dobry".

Wieczory zaczęto spędzać coraz przyjemniej. Wróblowa recytowała fragmenty z "Dziadów", a Nissan - Kozicka wróżyła z fusów i z chleba. W wyniku głodówki pozwolono mi chodzić na spacer. Oddychałam pełną piersią. Na podwórzu leżał śnieg

wartownik przy budce tupał nogami, nad kuchnią unosił się dym. To wszystko było dla mnie ważne. Niebo robiło się granatowe, a za murem brzęczały tramwaje, trąbiły auta - odgłosy ruchu i życia.

Przed wigilią wybuchła straszna awantura. W jakimś czasie na korytarz wywołano Stachę Wanat. Po chwili usłyszeliśmy jej krzyk: otrzymała pierwszą paczkę, która była też pierwszym znakiem życia od jej matki. Paczki podlegały rewizji. Kiedy wartownik zaczął wyciągać gumkę z majtek - Stacha urządziła scenę. W odpowiedzi na to zabrano jej paczkę, ale po jakimś czasie wywołano ją ponownie i scena powtórzyła się z tym, że rozdrażniona dziewczyna uderzyła strażnika majtkami po twarzy. To mogło oznaczać tylko jedno: karcer. Wiedzieliśmy, że należy koleżankę ciepło ubrać. Ubrałyśmy ją w swoje najcieplejsze rzeczy, a Raszplewiczowa zaopatrzyła ją w papierosy, które zakupiła w więziennym sklepiu.

Zastanawialiśmy się, jak będzie przeżywała matka Stasi, gdy do niej wroci paczka z więzienia. Przyszedł wigilijny wieczór. Stachę wypuszczono z karceru, a w dwa dni wydano jej paczkę. Zaczęłyśmy śpiewać kolędy. Śpiewały wszystkie cele po kolei mimo tego, że dyżurny się wściekał. W końcu znudziło się to nam wszystkim. Celi siedziały osowiały i zamysłone. Każda z nas myślami była w domu, przy rodzinie. W celi zapanował straszny nastrój. Wróblowa wyraźnie zżółkła, nic nie jadła, dziewczęta spierały się między sobą o miejsce do spania, Stacha dostawała napadów hysterii: to waliła butem w piec to znowu śpiewała, to znowu płakała.

Którejś nocy do celi wpadły cztery baby, aby przeprowadzić rewizję. Nic nie znaleziono, ale tumany kurzu i kawałki słomy walały się po całej celi. Taka "przyjemność" spotkała

nas trzy razy w ciągu jednego tygodnia.

Z chwilą, gdy w celi było nas coraz więcej, nosiliśmy się z zamiarem ogłoszenia ponownej głodówki z tym jednak, że zależało nam na tym, aby do tej akcji włączyły się wszystkie sześć cel. Na skradzionej kartce, skradzionym ołówkiem napisano sedno sprawy i zostawiono na piecu w ubikacji. Niestety - nikt nie odpowiedział. Jak się później dowiedziałam, kartkę zniszczyła kobieta z celi nr 46 w obawie, że mogą być z tego powodu nieprzyjemności.

Nikt jednak nie mógł zabronić pisania listów na zamarniętych szybach. w ubikacji zostawialiśmy zdobyte na różne sposoby zapalniczki lub tytoń.

Do celi przybyły dwie nowe więźniarki: dwie ukraińskie nacjonalistki. Dotarły do nas z jakiegoś celu z góry. Ukazało się więc, że w tym więzieniu oprócz cel 45 i 47 były jeszcze jakieś kobiece cele. Ukrainki nie nawiązywały z Polkami. Podczas śledztwa bito je.

W owym czasie naszym pożywieniem była soczewica - brudna, niesmaczna zupa, ale byliśmy głodni. Natomiast celi była wilgotna i trudno było ją opalić.

Na początku stycznia wezwano mnie do śledczego w celu podpisania ostatecznego zakończenia śledztwa. w czasie rozmowy poprosiłam Nowikowa, aby mi pozwolił napisać list do służącej z prośbą o paczki żywnościowe. Pozwolił. Stacha, kiedy ją wezwał - mówiła mu na temat ciasnoty w celi / było nas tam już 14/ oraz na temat mojej ciąży. Mówiła, że przecież w sąsiedniej celi jest moja matka i że należy nas połączyć, skoro śledztwo już zostało zakończone.

szesnastego stycznia dyżurny zawołał: Kosiskaja, sobieraj-

sia s wieszczami. Nie wiedziałam, dokąd idę: może do matki? Może na wolność? Rozbierałam swoje rzeczy, ucałowałam się serdecznie z dziewczętami i wyszłam na korytarz. Dyżurny zatrzymał się przed sąsiednią celą. Kiedy otworzył do niej drzwi zobaczyłam, że moja matka stała pod ścianą i coś prała w okrągłej spluwacze. Kiedy powiedziałam "dzień dobry", matka poniosła głowę, a kiedy mnie zobaczyła, podbiegła do mnie. Dyżurni zaglądali przez "judasz" patrząc, jak my dwie szlochaliśmy w objęciach.

Na drugi dzień poczułam ruchy dziecka. Krzysztof zaczynał już żyć. Ogarnęło mnie dziwnie trwożliwe uczucie: ból rodzenia, więzienie, szarość więziennych dni, trudna do odgadnięcia przyszłość - wszystko to było zbyt tajemnicze. Ciązę nadal znosiłam dobrze: chodziłam na spacer i cieszyłam się względami dyżurnych. Celę zaczęto częściej wypuszczać do ubikacji i warunki uległy zmianie na lepsze. W ogóle warunki w celi 46 były lepsze niż w celi nr 47. Przedewszystkim były dwa łóżka i mniej osób, przeważały osoby starsze:

- pani Welawska - biała emigrantka, kierowniczką ruchu rosyjskiej młodzieży we Lwowie. Spała w ubraniu i stale masowała twarz. Mówiła mało, niczym się zbytnio nie martwiła i miała poczucie humoru.

- Jaga Bacyl - zwariowana, trzydziestosześcioletnia mężatka, chodziła zawsze w czerwonym, kraśnym szlafroku. O swoich politycznych wyczynach mówiła bardzo tajemniczo. Trochę śpiewała i uwodziła dyżurnych

- pani Nieduszyńska - masywna, schorowana, miała opuchnię-

te nogi i dlatego stale leżała jak kłoda. Po jakimś czasie ją zabrano nie wiadomo gdzie. Chyba do szpitala.

- Majewska - towarzyszka Helenki z 47-ej celi, złapana na granicy z listami. Podobno była klucznicą w polskim więzieniu w Tarnowie. Była małomówna, robiła robótki i złorzeczyła dyżurnym.

- Jasińska Wala / co nawala/, mówiła dobrze po rosyjsku, szarapowata, kłociła się z dyżurnymi, a na dyżurnego, który chciał ją uderzyć zamachnęła się stołkiem i ten wycofał się.

- Janka - fryzjerka z zawodu, cicha blondyneczka,

- Marylka Motylewska z organizacji Januszajtysa, zawijała na noc papilota i była dziewczyną o gołębiim sercu.

Z grupy łączniczek była najstarsza - miała 24 lata.

Dni w celi upływały monotennie. Rzadko kto z nas chodził na śledztwo. Tylko po mnie przychodzono wieczorem na spacer. Wielkim przeżyciem dla całej celi było otrzymanie pierwszej paczki żywnościowej. Monotonię życia więziennego przerywały w celi kłótnie między paniami: Welawską i Nieduszyńską a proletariatem. Welawska nigdy nie chciała nikomu użyczyć swojego kubka ani łyżki. Obawiała się śmiertelnego zarażenia jakąś chorobą. Nieduszyńska natomiast przy codziennym przeglądzie miewała wszy i zamiast je dusić - zrzucała je na nas.

Pierszego lutego do celi przybyły "nowe". Hermína Naglerowa - pisarka i Hania Selwengerowa - adwokat. Obydwie były dobrze ubrane: w czarnych futrach - stanęły zdumione pod piecem i zaczęło się przedstawianie: wszystkie bezczelnie rechotałyśmy, a każda streszczała swoje przestępstwa: ja odbywam karę za zabójstwo nieślubnego dziecka, Natiusowa za dom publiczny,

i tak dalej. Nowoprzybyłe uwierzyły z początku naszym opowieściom i były przerażone. Później polubiłyśmy się z Hermi-
ną i Manią. Naglerowa - pisarka - była zresztą żoną chyba
komendanta głównego policji. Później wyjechała do Iranu z
Armią Andersa.

Po jakimś czasie w celi zjawił się prokurator z wiadomością, że wkrótce zostaną przetransportowana do szpitala. Urzeczywiście: 11-go lutego przyszli po mnie. Zastanawiałam się, czy mnie zawiozą do szpitala więziennego, miejskiego czy może na wolność. Spakowałam swoje manatki, pożegnałam się z matką i poszłam do kancelarii. Oddano mi z depozytu szalik, ale nie zwrócono obrączki. Wsiadliśmy do samochodu z dyżurnym i wyjechaliśmy z Zamarstynowa na ulicę Lwowa. Już wówczas wiedziałam, że nie wychodzę na wolność. Po jakimś czasie samochód zatrzymał się przed słynnymi Brygidkami. W tym więzieniu siedziała wcześniej Gorgoniowa.

Trafiłam do szpitala - pierwsze piętro, ostatnia cela. Pierwsze, co zauważyłam stając w progu - była ogromna kratka na oknach. W czasach przedwojennych trzymano tam psychicznie chorych. W celi były dwa łóżka. Na jednym leżała kobieta, a na drugim inna kobieta siedziała. Obok stało małe, dziecięce łóżeczko z niemowlęciem. Tym dzieckiem była "Brygidka", które miało jeden dzień. Urodziło się 10-go lutego 1940-go roku. Dziecko było małe jak ryżeczka.

Te dwie kobiety: matka "Brygidki" i druga w zaawansowanej ciąży - to była Emilia Jaszczyr i Gilda Goldber - były Żydówkami, które uciekły przed Niemcami z Zagłębia, z Sosnowca. Mąż Emilii był czapnikiem, a Golda była gorseciarką. W szóstym miesiącu przeszły San razem z mężami. Zostały aresztowa-

ne za nielegalne przekroczenie granicy. Ponieważ były w ciąży - znalazły się w szpitalu. Była to jedyna cela matek w całym szpitalu. Na naszym korytarzu oprócz naszej były tylko męskie cele. Już teraz nie pamiętam, czy "Brygidki" miały drugie piętro: wydaje mi się, że chyba nie, że był ewentualnie jeszcze parter.

Dyżurny z "med - siostrą" zaprowadzili mnie do jakiegoś innego pokoju, pustej celi i ja miałam z siostrą dokonać umeblowania. Wówczas się uparłam: jestem w ciąży i mogę się poderwać. Wówczas siostra i dyżurny przenieśli mnie. Cella była duża. Siedząc pod ścianą na przeciw okna można było zobaczyć załamanie jakiejś kamienicy, balkon a na nim oléndery i ludzi, którzy akurat trzepali zimowe ubrania z naftaliny / to było oczywiście później, bo 10-go lutego był jeszcze mróz/. Było to takie dziwne skojarzenie wolności. Cella była czysta, podłoga pomalowana na czerwono, był kaloryfer, ale palono w piecach. Jak się później przekonałam, z praniem pieluszek radzono sobie w ten sposób, że polewano wodą gorący kaloryfer, a ściekająca do naczynia woda była na tyle ciepła, że można było prać. Zresztą klozety były angielskie, dyżurni wypuszczali nas dwa razy, można też było wyjść i na specjalne stukanie. Podawano też białe bułki i biały chleb. Wyglądało na to, że jest tu bardzo dobrze.

Przyszedł lekarz i położna. One - moje współtowarzyszki - były starsze ode mnie - miały po 23 lata. Zresztą Emi były obojętną matką: przechodziła szok poporodowy: dziś wiem, że niektóre kobiety po porodzie przeżywają jakies nerwicowe zawirowania. Spotkałam się z czymś takim. Pamiętam, że Emi leżała na łóżku, przez cały czas wołała "Jakub, Jakub" i zachowywała

się obojętnie. Goldbergowa opiekowała się "Brygidką" i ja ją nosiłam w poduszce, bo była więzienna poduszka, prawdopodobnie po dziecku Gorgoniowej. Łóżecko też było więzienne. Dni stawały się coraz piękniejsze, nasze ubrania były w magazynach, a myśmy chodziły w białych, lnianych sukniach, białych, płóciennych trepach. Kiedy już nadeszła wiosna - o spacerach nie było mowy - ubrania były w magazynie nadal.

Zyliśmy zgodnie. Po pewnym czasie zaczęły do mnie przychodzić paczki. W tych paczkach było tyle, że na nas trzy wystarczyło na trzy dni. Były i kurczak i kakao. To wszystko organizowała moja teściowa.

Tylko raz się zdarzyło, że "ubornaja" była zamknięta i zaklejona. Było to po tej nocy, gdy położono na noszach jakiegoś mężczyznę - było to pod naszymi drzwiami - który wołał "mamo". Wywarło to na nas straszne wrażenie.

Żeby nas zająć i żebyśmy my były pożyteczne - dawano nam do łatania pieliznę szpitalną. Wówczas nauczyłam się ładnie łątać. Przy tej sposobności ukradłyśmy jakąś koszulę i koleżanka zrobiła mi gorset - kiedy zaczynałam już być bardzo gruba.

W miesiąc później - 10-go marca urodziła się Helenka - córeczka Guty /Gołdy/. Dziecko było duże - czterokilogramowe. Guta była wąska w miednicy. Poród trwał 24 godziny w ambulatorium na dole, ale jej krzyki dochodziły do nas przez cały czas. Wszyscy z nas chodzili z poważnymi twarzami tak, jakby ona umarła przy porodzie. Był to już marzec i przestano palić w kaloryferach. Kąpanie dzieci nie było już możliwe - myśleliśmy im tylko buzie.

W celach wisiały "Prawiła" /regulaminy/, na których uczyłam się języka rosyjskiego. Kiedy bowiem przejechaliśmy z To-

runia do Lwowa, to Andrzej poszedł do szkoły św. Antoniego /powszechnej/, a następnie do szkoły im. Marii Konopnickiej, w której był nauczany w wymiarze jednej godziny język rosyjski. I matka moja - rodowita warszawianka, ojciec tak samo - znali bardzo dobrze język rosyjski z carskich czasów. Alfabet był podobny i matka pomagała Andrzejowi opanować alfabet. Przy tej okazji i ja kilkakrotnie posłuchałam i już wiedziałam ~~xxxxxx~~ troszkę na temat niektórych liter - jak wyglądają. Douczyłam się nieco przez kowersację Nissan - Kozickiej z dyżurnymi. W rezultacie udało mi się zrozumieć całe "prawidła", wszystkie jego punkty.

Po jakimś czasie do celi przyszła Regina, też Żydówka, gruba i nieznośna, ciągle wchodziła do klatki przewidzianej dla chorych psychicznie. W końcu ją zabrano, po okazało się, że symuluje ciążę.

Następnie przyszła pani Wanda z czteroletnim Mirkiem. Do dziecka odnosiła się obojętnie i w końcu ją z dzieckiem zabrano. Ona chyba też była z uchodźców.

Po tem przyszła Jadwiga. Miała 32 lata, była kasjerką w kinie. Ładowała się z jakimś NKWD-yście, gdy zaszła w ciążę, to on ją wpakował do więzienia. Prowadziła bardzo niehigieniczny tryb życia: za nic nie chciała zejść z łóżka, mówiła, że stale jadła czekoladę i cukierki, a tu tego nie ma.

Następnie przyszła jeszcze Nastia - w siódmym miesiącu ciąży, nosiła kwiecistą chusteczkę na głowie do szpitalnego stroju i była Ukrainką. Do więzienia trafiła za to, że jej pięcioletnia córeczka powtórzyła dowcip:

- ni ~~skorowy~~ ni swini
- tolko Stalin na stini.

Ktoś o tym doniósł i Nastię, jako matkę źle wychowującą swoje dziecko wpakowano do więzienia. Nastia ładnie śpiewała:

- tam na hori, hori snig bileńkij
- deś poichał moj mileńkij
- deś poichał - ja ne znaju
- serdce z żaru zamirajut.

4-go maja one sobie wesoło gawędziły o kwiatach, a mnie zaczął boleć żołądek. Jak im się zwierzyłam, że mnie boli, to zaczęły klaskać w ręce, że to już, że się urodzi Krzysztof. No, i zawiadomiłyśmy siostrę.

A już od tego czasu byli Rosjanie, felczer był Rosjaninem, bo tak lekarzami byli Żydzi nasi i cała obsługa, położnabyła bardzo miła i dobra. Kiedy felczer mnie zbadał, powiedział, że nie zdążę jutro zjeść śniadania, a już będę Krzyżem.

Zastukałam do siostry i powiedziałam, że powód będzie chyba niedługo. Odpowiedziała mi, żeby do niej zastukać wówczas, gdy wody będą odchodzić. Ja, mimo całej mojej nieświadomości odpowiedziałam, że wody mogą odejść na krótko przed samym porodem. Ona jednak tym się nie przejęła. Dopiero około godziny dziesiątej wieczorem sprowadzono mnie na dół, do ambulatorium. Zabrałam ze sobą koc. Ponieważ nie mieli przescieradka, położyłam koszulę męską z pieczątką "Zakład Karny", bo to jeszcze była nasza /polska, przedwojenna/ bielizna. Sanitarłusz zagrzaz wodę na prymusie, zrobiono mi lewatywę. Wówczas miła powiedziała, że głowka jest już nisko. Postanowiła, że ona w międzyczasie przespi się na fotelu. Mam ją obudzić wówczas, gdy mnie będzie bolał krzyż. Ledwie ona to powiedziała, gdy ja stwierdziłam, że mnie krzyż boli. Krzysztof urodził się bardzo szybko. Rzeczywiście - wody było bardzo dużo, ale on

urodził się bardzo malutki: nie ważył więcej niż dwa kilo.

Nakarmiłam go herbatką. Nakarmiono go i umyto. Baraz zaczął smoktać palec i zasnął.

Tu muszę dodać, że później zaostrzono reżim wobec kobiet z dziećmi i przeniesiono nas do sali, która była duża i ciemna. Wieluski nie wysychały i trzeba je było ciągle rozwieszać. Na domiar złego do tej sali wpakowano nam cztery cygan-ki - Besarabki. Jedna z nich była starą wiedźmą, druga była z dwojgiem małych dzieci, a trzecia była w ciąży. To towarzystwo, drapiące się.

W tym czasie Krzys był już na świecie. Kiedy w tej celi leżał w jednym kózeczku z "Brygidą", kaszlał. Ale po jakimś czasie szczęśliwie nas cofnięto do poprzedniej celi. Pobyt w dużej celi był znęcaniem się.

Po porodzie zaniesiono mnie na noszach na pierwsze piętro. Przez 24 godziny nie zmieniono mi "podkładu" i wówczas dostałam gorączki poporodowej. Dzięki zastosowanym lekom temperatura szybko ustąpiła. A było niespokojnie, bo temperatura dochodziła do 41 stopni. To było w maju - Krzysztof urodził się 5-go maja o godzinie drugiej trzydziści rano. Kiedy leżeliśmy obok siebie, przez okno było widać czerwoną chorągiew na ratuszu czy na jakiejś innej instytucji. Dzień był pochmurny, wietrzny.

Później zaczął się kłopot z karmieniem. Najpierw Helenka przeszła zapalenie płuc, bo przestano grzać w kaloryferach. Następnie dostała jakichś centek na buzi, które Guta nacierała jej moczem - to był Guty sposób - ale to nie pomagało. Do celi przyszło jakichś dwóch cywili: jeden z nich podobno był prokuratorem. Coś mówili do siebie po ukraińsku, czego nie

rozumiałam. W pewnej chwili usłyszałam "mac' muzyka". Sądziłam, że to znaczy "matka męża". Dopiero później dowiedziałam się, że "mużyk" po ukraińsku znaczy "chłopiec". Znaczyło to więc "matka chłopca" ..

Chyba dziewiątego kwietnia otrzymałam odpis aktu oskarżenia, w którym byłyśmy wszystkie wymienione: cała ósemka czy siódemka. Część dziewcząt od Januszajtysa była to nasza grupa, ale na przykład Olga była w grupie świadków, przyprowadzona z więzienia. Zawiadomiono jednocześnie, że az rozprawa odbędzie się 13-go kwietnia. Jestem oskarżona z § 56 ukraińskiego, a 58§ rosyjskiego pkt.4 - tajna organizacja wojskowa, pkt.10 - agitacja i pkt.11 - propaganda. Punkt pierwszy dotyczy wrogów ludu - tacy odrazu szli pod ścianę.

Na rozprawę czekałam z niecierpliwością licząc na to, że spotkam Witolda. Tymczasem minął 13-ty kwietnia - i nic. Cisza. Czekam tydzień, dwa, trzy - nic się nie dzieje. Ze złości podarłam akt oskarżenia, który podpisali: Chruszczow oraz sędzia Corpita.

W pobliżu celi rosło drzewo, waląc gałęziami w okno. Był zimny, pochmurny majowy dzień. Zjawiła się siostra, aby spisać personalia. Kiedy powiedziałam, że syn ma na imię "Krzysztof" - powiedziała: no tak, bo "krzyż". Potem zjawił się lekarz i powiedział, że jest małe pęknięcie, które wkrótce się zezdnie i zabezpieczył je tamponami. Guta i Emi natychmiast zajęły się noworodkiem. Życzyłam sobie, aby leżał w mojej bluzce piżamowej i sweterku Witolda, a nie w więziennych koszulkach. Dostał herbatę i od następnego dnia miał ssać pierś, ale skrzeczał i nie umiał chwycić małej brodawki. Odciąganie mleka z piersi mało pomogło. Sanitariuszka zaniedbała mnie i przez 24 go-

dziny nie dała świeżych podkładek. Siódnego maja - dwa dni po urodzeniu syna - przyszedł dyżurny z paczką od teściowej. Uzegoż tam nie było: koszulki, kaftaniczki, flanelowe pieluszki, przepaski, mydło, puder dziecięcy, gąbka, ręczniczek, mleko, kakao, śmietana, piernik, kura, czekolada i cukier. Pokwitowałam odbiór paczki zaznaczając: jest syn Krzysztof. Nie wiedziałam, że dyżurny Ukrainiec nie okaże dopisku teściowej i że poinformuje ją, że urodziła się córka.

Emilka - niezdara wylała kakao podczas sprząwania. Pieluszkę flanelową podkładałam sobie pod prześcieradło, bo nie otrzymałam czystej bielizny poscielowej. Na trzeci dzień zjawił się ~~pr~~okurator. Zajrzał do dziecięcego łóżeczka po dziecku Gorgoniowej i spytał: Skolko jemu? - Trzy dni. Następnie zapytał, czy jestem zdecydowana oddać dziecko na wychowanie teściowej, ponieważ teściowa o to się stara. Ze ściśniętym gardłem powiedziałam, że tak, bo ten problem przemyślałam sobie przez ostatnich kilka tygodni.

Któregoś wieczoru przeniesiono nas do ogromnej sali. Była to cela nr 18, miała dwa okna i była bardzo zimna. Na dodatek otrzymałyśmy cztery współtowarzyszki - cyganki besarabskie. Jedna z nich była w ciąży, dwie z nich miały troje dzieci w wieku od trzech lat do pięciu, jedna wstrętna wiedźma ciągle czohrała się w swoich łachach, gdzie hodowała wszy. Po tygodniu pobytu wytransportowano całą czeredę. Została tylko Cyganek w ciąży. Krzys nadal spał w łóżeczku po "Kropelce" Gorgoniowej. Darł się po nocach i popłakiwał w dzień z głodu i stale chorował na biegunkę. Felczer radziecki obejrzał dziecko i orzekł: jeśli nadal nie będziecie mieć pokarmu - dziecko umrze. Płakałam gorzko, ale pokarmu od tego nie przybywało. Lekarka Rosjanka kazała mi zapisać na pokarm drugi kubek

herbaty. Oczywiście z tego też pokarmu nie było. wreszcie przykazano więziennej kuchni, że mają dokarmiać niemowlęta, wszystkie. Ale w kuchni pracowali więźniowie - kryminaliści: gotowali wodę z mlekiem lub mleko z wodą. Raz mleko było przypalone, a innym razem kwaśne, niedogotowane. Pory posiłków zmieniały dowolnie albo przysyłali bardzo gęstą kaszę manną, która nie nadawała się na żołądki niemowlęce. Nasze pożywienie też zmieniło się na gorsze: otrzymywałam wstrętne "pochlopki", zmniejszono porcje mleka dla karmiących matek. Raz, gdy Helenka bardzo płakała, zdenerwowana Guta wyrzuciła kubkiem w drzwi i rozbeczała się. Do celi wpadli: dyżurny, felczer, siostra i sanitariuszka. Gołda przeklinała ich i wygrażała. Oni zagrozili jej, że na drugi dzień ona pójdzie do karceru.

Najobfitszy pokarm, choć rzadki miała Lmi, toteż Brygida rosła jak na drożdżach. Helenka natomiast mizerniała, stale siusiała i nie chciała spać. Pewnego dnia Guta spróbowała swój pokarm i rzekła, że jest bardzo gorzki.

Dzieci chorowały, przeziębiali się, Krzysk kaszlał i cały czas robił kupkę na zielono. Helenka miała pocentkowaną buzię, którą Guta nadal kurowała moczem dziecinnym. Dziecko miało stale zimne nogi, więc podarowałam jej flanelowy kaftanik Krzysia.

Szczęśliwie przeniesiono nas powtórnie do celi 27. Ale warunki higieniczne były coraz gorsze: pieluch nie wystarczało, wody ciepłej nie można było doprosić się, a pieluchy nigdy nie gotowane schły na okiennicach. Spacerów też nie było. wreszcie przestałam otrzymywać paczki żywnościowe.

Pewnego wieczoru - pod koniec maja - otrzymałam kartkę od matki, w której matka napisała, że rozprawa odbyła się 11-go kwietnia, na której została skazana na dziesięć lat obozów i

że spodziewa się wywiezienia. Jest w "Brygidkach", na celi zasądzonych, wie, że urodzi się syn, na rozprawie widziała Andrzeja i Wtolda. Pisała, że nie powinnam się martwić chociaż jest mało prawdopodobne, że się zobaczymy. Nad tym listem płakaliśmy wszystkie.

11-go czerwca 1940-go roku jak zwykle - wstaliśmy, zjadliśmy śniadanie, a ja zabrałam się do prania pieluch. Krzysiek - jak zwykle - krzyczał z głodu. wszedł dyżurny:

- na bukwę "K"?
- Kosinska.
- Sobierajsia z wieszczami.
- a co z dzieckiem?
- Jakim dzieckiem?
- no z tym. Ma sześć tygodni.
- zabieraj i jego.
- gdzie? Na sąd?
- Da, da.

Emilia nakarmiła natychmiast Krzysia, a ja w tym czasie pobiegłam do magazynu. Wzięłam Emilii letnią sukienkę i jej pantofle. Wyglądałam jak nie z więzienia. Miosąc Krzysztofa w béciku szłam przez podwórze do dyżurki. Tam oszupiałam: za żelazną kratą dyżurki zobaczyłam matkę, Anat, Marylkę Mohylewską, Wandzię Bober i panią dyrektor wierzyńską. Przeprowadzono rewizję osobistą, po której padliśmy sobie z matką w objęcia. Okazało się, że na pierwszej rozprawie zaistniały jakieś nieformalności. Kiedy papiery poszły do Charkowa, z tego powodu zwrócono je do Lwowa z adnotacją, że sprawa odbędzie się po raz drugi.

Wsiadaliśmy do karetki więziennej. Karetka podskakiwała w

czasie jazdy, a my opowiadaliśmy sobie wszystkie nasze przeżycia, jakich doświadczyliśmy od dnia rozstania. Był ładny, wiosenny, czerwcowy poranek. Wreszcie karetka zatrzymała się i zaczęliśmy wysiadać. Dziś już nie pamiętam, czy karetka zatrzymała się przed hotelem "Europejskim", czy przed budynkiem dawnych sądów. Obok stał tłum ludzi. W pierwszym rzędzie zobaczyłam teściową - Czesławę Kosińską. Krzychała: Myszo, to ja.

Idąc uroczyście z Krzysiem na ręku machałam ręką do teściowej. Weszłam do mrocznego korytarza, a następnie do sali rozpraw.

Całą siódmką zajęliśmy ławę oskarżonych. Otaczał nas silny konwój. Na sali siedziały zmiany warty, naczelnik konwoju, urzędnicy sądowi i wszyscy ci, którzy znali nas z więzienia, a których zaciekawił nasz proces. Byli też świadkowie, wśród których byli: Ania Barszelówna, Andrzej, Maria Kębowska z mężem Janem. To byli świadkowie w naszej sprawie. Byli też mężczyźni, którzy byli kontaktami dla nas łączniczek tak, że cała sala była pełna. Na estradzie zasiadł sąd: prokurator, sędzia i dwaj ławnicy.

Nadal trzymałam Krzysztofa na ręku, który wkrótce zaczął płakać z głodu. Staralam się go karmić pierśią, co niewiele pomogło. Rodziny dziewcząt stały w korytarzach, ale nie pozwolono im na widzenie. Natomiast mój adwokat podszedł do mnie, przedstawił się jako opłacony przez teściową obrońca i na kartce zaczął notować imię i datę urodzenia dziecka oraz inne szczegóły, które miał przekazać teściowej. Rytaram, jak będzie z Krzysiem, bo miał zimne nóżki i był głodny, a rozprawa zapowiadała się na cały dzień. Po pewnym czasie zjawiła się moja teściowa. Pozwolono jej rozmawiać ze mną w czasie przerw

a Krzysia wzięła ze sobą. Nosiła go na ulicy w słońcu i karmiła mlekiem z butelki. Natomiast moja matka po dokładnym obejrzeniu dziecka i wysłuchaniu mojej relacji o życiu w celi orzekła, że trzeba go oddać, bo w przeciwnym razie nie przeżyje tego.

Rozpoczęła się rozprawa. Odczytano nam akt oskarżenia w języku ukraińskim z którego wynikało, że grupa działała nielegalnie i kontrrewolucyjnie. Następnie zaczęły zeznawać oskarżone. Jeszcze w karetkce umawialiśmy się, że nie będziemy do niczego przyznawać. W ogóle ten sąd wyglądał nam na dobrą zabawę i nawet w głowach naszych nie powstała myśl, że któraś z nas może odpowiadać życiem. W pierwszej rozprawie zapadł wyrok skazujący panią Marię Biedrzyńską na karę śmierci. Landorf twierdził od początku, że sprawa jest poważna i że nie wie sam - jak ma nas bronić i że z tej obrony i tak będą nic. Stacha miała adwokata z urzędu podobnie jak i Wandzia. Oboje nie wiedziały jeszcze wówczas, że ich rodziny już od trzy nastego kwietnia były wywiezione w głąb Związku Radzieckiego.

Po moich zeznaniach sędzia zapytał /przez tłumacza/, czy oskarżona zgadza się na oddanie dziecka na wychowanie swojej teściowej - Kosińskiej. Bez wahania odparłam, że się zgadzam. Natychmiast to zaprotokołowano i w czasie rozprawy zostały sporządzone dwa egzemplarze aktu podpisanego przez mnie i teściową, opatrzonego pieczętą Okręgowego Sądu Lwowskiego, na mocy którego oddawała Krzysia na wychowanie. Żał mi było rozstać się z dzieckiem, ale też miałam świadomość, że nie może być inaczej. On by umarł.

W czasie przerwy w rozprawie zdarzył się incydent. Kobiety

stojące na korytarzu: matka Maryli, siostra Kazi przekazały paczkę dla wszystkich. Dyżurni tę paczkę przetrzymali. Naczelnik konwoju - wybitny sadysta - nie pozwolił nam jej oddać. Powiedział, że zgodzi się dopiero wówczas, gdy zezwoli na to prokurator. Prokurator, indagowany w tej sprawie twierdził, że zależy to wyłącznie od naczelnika konwoju. Zwodzili nas i paczkę zabrali. I wówczas stacha zrobiła wielką awanturę: obrzuciła cały sąd wyzwiskami wołając: sami chcecie paczkę zeżreć, złodzieje.

Ten argument trafił władzy do przekonania i wydano nam paczkę. W paczce pełno było kanapek z wędliną, czekolady, cukierków, ale my nie byliśmy w stanie nic jeść. Zechna przyniosła butelkę mleka, którą wspólnie wypiliśmy. Denerwowaliśmy się, chociaż na duchu nie upadaliśmy, ale mieliśmy złe przeżycia. Zechnie wolno było rozmawiać tylko ze mną. Jeśli do mnie zwracała się któraś z koleżanek czy nawet matka - wartownik natychmiast krzyczał, że nie pozwala.

Po przerwie wprowadzono świadków. Byli oboje Rydlewscy, Ela Jurkiewicz, Olga Sanszel oraz prawie wszyscy mężczyźni ze sprawy Januszajtysa, którzy mieli być sądzeni w następnej kolejności. Zabrakło jedynie Witolda i Antoniego Wysockiego. Sąd stwierdził, że przyczyny ich nieobecności są sądowi znane. To było 11-go czerwca. Jak się dowiedziałam, na rozprawie w dniu 11-go kwietnia Witold był. Napisała mi o tym matka. A więc żył do kwietnia z całą pewnością. Wszystko więc wskazuje na to, że umarł między dniem 11-go kwietnia, a 11-tym czerwca 1940-go roku.

Andrzej był blady i wychudzony - uśmiechał się do nas z daleka. Wyglądał jak dziecko w wytartym mundurku gimnazjalnym

Rozpoczęły się zeznania świadków. Andrzej i Olga Panszel zachowywali się śmiało stwierdzając jednoznacznie, że są i pozostaną Polakami. Kiedy zarządzono przerwę a świadków jeszcze nie wyprowadzono - prosiłyśmy o podanie im paczki, ale bezskutecznie. Wówczas matka wzięła trochę czekolady i poprosiła konwojenta o odprowadzenie do ubikacji. Kiedy przechodziła koło Andrzeja, rzuciła mu się w ramiona i jednocześnie wcisnęła czekoladę. Zrobiło się przy tym niemałe zamieszanie. Wyprowadzono świadków z sali i rozpoczęły się wystąpienia prokuratorów i adwokatów.

Prokurator oskarżał surowo. Najkagodniej jego mowa brzmiała w stosunku do mnie i Kazi Korczyńskiej. Najostrzej zaś oskarżał panią Biedrzyńską i moją matkę. Pełno było o "pańskiej Polszy", oficerach, wrogach ludu. Domagano się niejednego wyroku śmierci.

Z adwokatów jeden Landau mówił "po ludzku". Ale i on niewiele mógł powiedzieć. Inny natomiast adwokat - z urzędu - tak sprawę pogmatwał, że jego obrona właściwie pogrążyła oskarżonego.

W późnym wieczorem zapadł wyrok. Panią Marię Biedrzyńską jeszcze raz skazano na karę śmierci, moją matkę na dziesięć lat "wospitatelnego łagiera", Stachę na 6 lat, Marylę i Wandę na 5 lat każdą, a Kazię i mnie na trzy lata wychowawczego obozu pracy. Od wyroku można było składać apelację i Landau zaraz taką apelację złożył.

Moja teściowa była przerażona... czasie ostatniej przerwy pożegnaliśmy się. Nie wiedziała, że macierzyństwo spadnie na nią tak nagle, ale nie chciała skazać niemowlęcia na pobyt w celi. Na drugi dzień miała przyjść po wyprawkę. Zaprotokołowano, że do chwili mojego wyjazdu ze Lwowa miałam karmić dziec-

ko raz dziennie. Tak postanowiła prokuratura.

Z sali wychodziliśmy przez mroczne korytarze, czekała karetka, ale ludzi nie było. Było to ok. godziny ósmej - dziewiątej wieczorem. Panią Wierzyńską jako osobę skazaną na śmierć zamknęto w osobnej karocie. Konwojent przeklinał i wyzywał ją od starych wiedz.

Po powrocie do więzienia oddałam do magazynu rzeczy Emi i Jadwigi i otrzymałam swoje ubranie. Wstąpiłam do celi, aby powiedzieć, jaki mam wyrok oraz aby zabrać wyprawkę Krzysia. Natychmiast poprowadzono mnie korytarzem do celi zasądzonych nr 55. W dwa dni później - 15-go czerwca 1940-go roku po raz ostatni widziałam w więzieniu Krzysztofa. Przyniesiono go do karmienia, które okazało się niepotrzebne. Przesiedziałam z nim pół godziny. Z bocznych drzwi ktoś wyszedł i patrzył. Był to sędzia Nowikow:

- Syn? - spytał cicho.

- Tak - odpowiedziałam.

Nic więcej nie powiedział tylko przez chwilę jeszcze patrzył. W jego oczach było widoczne współczucie: dziwni ludzie - skazali mnie i żałowali.

Rozpoczęłam następny etap więziennego życia w celi zasądzonych. Cella była bardzo duża: piętnaście łóżek i 50-ci kobiet - po dwie na jednym łóżku. Oprócz tego był stół, dwie ławy i wielki luksus - kibel za parawanem.

W celi znajdował się najróżniejszy element. Oprócz nas - politycznych były jeszcze dwie polityczne - Ukrainki: ~~Stefa~~ ^{Stefa} ~~Stefa~~ ^{Stefa} Pastuszenko, żona nauczyciela i wiejska dziewczyna - Marusia. Trzymały się tylko ze sobą, wobec nas były obojętne, ale to nie przeszkadzało, że w późniejszym czasie były z nami solidarne. Oprócz nas politycznych było kilka osób, które uchodzi-

ły ze strony niemieckiej na radziecką - chociaż chyba takich nie było, były takie, które chciały dostać się na "tamtą" stronę, do Warszawy. Z tych osób pamiętam nazwiska: Wiga Kajzarek, siedziała za próbę nielegalnego przejścia granicy, harcerka. Była też Franja Węgrzynowa, żona Kazimierza Węgrzyna. Był on kaleką, miał ortopedyczny but i był aplikantem adwokackim w sądzie w Kowlu czy Lucku. Tam właśnie ożenił się ze swoją służącą, bardzo inteligentną dziewczyną, bardzo ładną Franją. Ponieważ on był góralem - oni oboje chcieli dostać się na Nowy Sącz czy też Nowy Targ do rodziny, ale ich złapano na granicy i rozdzielono. Różniej jednak szczęśliwie się spotkali. Była też z nami Mery Sznajder. Była Żydówką. Wraz z mężem pochodzili z Warszawy. Ona była malarką, a on chyba architektem. Jakies dwadzieścia lat temu w jakiejś gazecie przeczytałam, że przebywa w Kanadzie i jest tam sławną malarką. Oboje byli znani w Kanadzie.

W celi byli kryminalisci, prostytutki i złodziejki. Mery miała ciężkie życie, bo była niezdara. Gdy przyszła na nią kolej mycia podłogi, to jej było bardzo trudno. Wśród kryminalistek były Zośka Szczurek, złodziejka, wzięła kiedyś miotkę i zacieliła Mery po głowie za to, że tak niezdarnie się rusza. Dlatego Mery trzymała się bliżej nas, politycznych i do nas przychodziła na skargę na kryminalistki. Współczuliśmy jej, ale ona i nas trochę denerwowała swoim niezguistwem.

Kryminalistki chodziły do pracy i od nich moja mama dowiedziała się, że urodziło się dziecko. Z pracy przynosiły cecule, którą czasem z nami się dzieliły. I oczywiście kradły. Wspomniana Zośka Szczurek była na przykład specjalistką od kradzieży butów w sklepach. wkładała sobie buty pod sukienkę

i tak wychodziła. Józia Kukurydza okradała mieszkania. Maria Bronowa wyglądała trochę podejrzanie, ale mogła by być właścicielką domu publicznego. Znała się dobrze z kryminalistkami. Zośka Dudek była prostytutką i stale opowiadała nam o swoich klientach tak dokładnie, że aż moja matka odciągnęła nas od słuchania tych opowieści, bo my miałyśmy wówczas po 19-cie lat, a Zośka opowiadała z dumą o swoim zawodzie. Kryminalistki nic nam nie ukrały.

Marlena solidaryzowała się z nami. Były też z nami cztery Rosjanki, skazane za bezprawne opuszczenie pracy. Po prostu nie poszły do pracy i posadzono je na cztery miesiące. Jedną z nich - wierę - strasznie bolały zęby. To było w lecie. Nie mogliśmy się doprosić dla niej dentysty, a nasze prośby lekceważono. Postanowiliśmy działać. W porozumieniu z całą celą - a okna były otwarte gdyż cela mieściła się na drugim czy trzecim piętrze - było gorąco, wieczór około godziny dziewiętej całym, trzydziestosobowym chórem zawołaliśmy "wracza", lekarza. W więzieniu nastąpił straszny rumor: na korytarzu rozległy się kroki, otwarto drzwi celi i padło pytanie, czego my chcemy. Powiedzieliśmy, że jednej z nas potrzebna jest pomoc dentystyczna, której nie możemy się doczekać. Wówczas powiedziano, że polityczne pojedą do karceru. Od Januszajtysa było nas osiem czy dziewięć, Stefa i Marusia w tym wypadku były z nami solidarne, dołączyła do nas jedna kryminalistka.

Karcer był bardzo ciasny: nie można było usiąść, a i stać też było trudno. W karcerze przetrzymano nas do rana, a następnie zaprowadzono do jakiejś celi, w której jakiś "politruk" wystąpił z przemówieniem, że tu jest dorodna pszenica, ale skażony przez kowal, którym oczywiście jesteście. my. I na tym cała sprawa się skończyła. Naszą koleżankę zaczęto leczyć.

W celi zasądzonych spotkałam Halinę Ciulik, tę samą, którą ujęto na granicy z rewolwerem w ręku. Ona nie była na Zamarsztynowie. To pierwszym aresztowaniu została zwolniona, a następnie ponownie aresztowana i skazana. Ona powiedziała mi, że Missan - Kozicka jest teraz sekretarką w sądzie. Od niej miała pochodzić wiadomość, że Witold zmarł na tyfus. Nie powiedziała jednak na jaki: brzuszny czy plamisty. Do nas nie dochodziły wieści, aby na "Brygidkach" był tyfus. Późniejsze poszukiwania moich teściów Kosińskich jak i moje nie dały rezultatów. We wszystkich moich późniejszych więziennych wędrówkach nigdy nie spotkałam nikogo, kto by siedział z Witkiem na Zamarsztynowie. Nie spotkałam też nikogo, ktoby mógł cokolwiek o nim powiedzieć. Nie uzyskałam też żadnych oficjalnych wiadomości nawet gdy pisałam do Czerwonego Krzyża. Teść miał dwóch braci w Ameryce i przez nich też starał się uzyskać jakieś wiadomości. Przepadł jak kamień w wodę.

Przebywając w celi zasądzonych wychodziłyśmy co drugi dzień na spacer. Ograniczały się one do krążenia w kołko po cementowym podwórku. Było lato i dni były wyjątkowe - bardzo upalne. Marylka prowadziła akcję oświatową, bo miała świetną pamięć do filmów. Słuchały jej opowiadań z wielkim przejęciem kryminalistki.

Atrakcją było przybycie do naszej celi pani Heleny Czemyrńskiej. Była ona żoną prokuratora, o czym NKWD nie wiedziało. Osadzono ją jedynie za chęć przekroczenia granicy. Nie wie czy próbę przekroczenia podjęła z mężem. Skazano ją tylko na rok. Wydaje mi się, że do czasu wybuchu wojny niemiecko - radzieckiej ona powinna wyjść. Jej pobyt wiązał się z tego rodzaju "atrakcją", że ta pani ciepiąca na rozstrój nerwowy.

Co jakiś czas dostawała jakiejś zapasici psychicznej i wówczas twierdziła, że urodzi diabła. Przy tym cały czas chodziła i jęczała. I rodziła tego diabła w postaci ekstrementow, na podłodze przed paraszą i zaczęła je jeść. Narobiłyśmy z tego powodu krzyku i ją zabrano.

Więcej interesujących zdarzeń z tego okresu nie pamiętam. Szóstego września odczytano całą grupę Januszajtysa na podwórzu, do transportu. Na dworcu czekały już na nas zakratowane wagony towarowe, do których wsiadaliśmy kolejno. Podczas załadunku ja powtarzałam sobie ostatnią zwrotkę wiersza Iłłakowiczówniej "Jesień", która kończyła się następującymi słowami:

- proszę cie złota polska jesieni
- niech się już moje serce nie odmienia.

Otwórz Janku swoje okno,

otwórz chatę swoją - to śpiewała jeszcze na Zamarynowie Wróblowa. Tu, w towarowych wagonach okna były małe. Wreszcie pociąg ruszył, nie wiedzieliśmy, dokąd jedziemy. Sądziliśmy, że wiozą nas do obozów, o których wspominała swego czasu Nissan z Kozicka. Mówiła o barakach z pokojkami, firankami w oknach i kwiatami. Tymczasem nie było przytulnie: leżaliśmy pokotem na piętrowych narach, a od dziury klozetowej śmierdziało. Karmiono nas trzy razy dziennie pochłopkami, chlebem i śledziami, ale nie dawano wody mimo naszych próśb, bo konwojenci flirtowali z ukraińskimi "mołodyciami" i ani im w głowie było nosić wiadra z wodą.

Przez niewielkie okienka widzieliśmy mijany krajobraz: pola, lasy i jakieś miasta. Pogoda wrześniowa była ciepła i miła. 11-go września dojechaliśmy do Charkowa do więzienia rozdzielczego, w którym były wielkie, wilgotne cele

W więzieniu były osobne pawilony dla matek z dziećmi. Odżywiano nas dobrze barszczem ukraińskim z fasolą i pomidorami oraz jarzynową sałatką.

W Charkowie matka nabawiła się zapalenia okostnej. Przez kilka dni - owinięta szalikiem - wiała się z bólu. Wreszcie zlitowano się nad nią i dentysta wyrwał jej ząb. Przez cały ten czas nic nie jadła.

18-go września transport ruszył w dalszą podróż. Na Uralu buki były czerwono - brązowe jak w lesku we Lwowie, w lesku węglińskim. Transport mknął coraz dalej. Z tej trzytygodniowej podróży na Środkową Syberię pamiętam przede wszystkim to, że zaczęłam chorować na awitaminozę. Ciało pokryło się krostami na nogach, nawet między palcami, a także u rąk. Prawa noga spuściła w podbiciu i u palców od króśt, że nie mogłam nałożyć sznurowanego trzewika. A tu było coraz zimniej, bo już dawno wyjechalismy ze słonecznej Ukrainy. Na wniosek matki jedna z koleżanek zrobiła mi coś na kształt nowego buta.

Wielkim przeżyciem była "bania", zbiorowa, na stacji Sizralsk. Przy okazji zdysfunkcjonowano przy tej okazji odzież, która po tam wyglądała jak psu z gardła wyciągnięta. Pracownikami bani byli mężczyźni, którzy zupełnie nie rozumieli wielkiego popłochu, jaki wywołali swoją obecnością wśród nagich kobiet. Tu też nastąpiło golenie włosów pod pachami i na łonach.

Wreszcie znaleźliśmy się w miejscowości Maryńsk, osrodku łagrowym, położonym około 250-ciu km na północny wschód od Nowosybirsk. Przyjechalismy tu siódmego października pod wieczór. Cały personel kilkunastu baraków: lekarz i urzędnicy - byli więźniami. Ponieważ dojechałam tam z gorączką, natychmiast położono mnie na drewnianym łóżku w miejscowym szpitalu. C-

bie nogi miałam pokryte wrzodami, lepiącymi się wrzodami, a dookoła były pluskwy, wielkie, utuczone krwią. Jako lekarstwo na wx awitaminozę lekarka przepisała mi przelewanie krwi z żyły w ręce do posładka. Zapewne skuteczniejsza byłaby zwykła cebula, ale cebuli ani innych witamin tu nie było.

Moje łóżko stało obok pokoju lekarza. Niedys, leżąc rozgończkowana - modliłam się o muzykę, która przyniosłaby mi ukojenie. Nie do wiary - w tym właśnie momencie z pokoju lekarki ze starego gramofonu popłynęła muzyka: aria z opery "Carmen". Gdybym tak mogła posłuchać romansu Nadira - pomyślałam. I oto w tym nędznym szpitaliku, wśród cuchnących barłogów - stał się cud: Rozległa się muzyka z tego właśnie romansu.

W Maryńsku byliśmy siedem dni - tyle czasu tam leżałam. Po siedmiu dniach nasz transport został skierowany do trzeciego łagiernego podpunktu do miejscowości wierchnie Czebulińskie, odległej od Maryńska o 50 km. Już wcześniej - przed moim wyjazdem kilka osób już wyjechało, właśnie do Wierchniej. Moja mama też by ze mną została rozłączona, ale dała lekarce zabraną jeszcze z domu koszulę i ta zgodziła się zatrzymać mnie do następnego transportu tak, że nadal byliśmy razem. Natomiast Olga, Wanda i Marylka pojechały dalej.

15-go października, po wypisaniu mnie ze szpitala - nic mi ten szpital nie pomógł - wyruszyliśmy całą grupą do wierchni, a stamtąd - piechotą do trzeciego łagiernego podpunktu. Była to środkowa Syberia. Spod leżącego dookoła śniegu sterczały główki zamarzniętej kapusty. Obóz był otoczony trzema rzędami drutów. Z czterech stron światła były posterunki "wyżki" z uzbrojonymi strażnikami. Ustawiono nas przed bramą, od-

liczono piątkami i brama otworzyła się. W środku - między innymi stał jednopoziomowy barak. Wewnątrz stała prycza i parasza. Za ścianą mieszkali rosyjskie kryminalistki. Były one podobno wyjątkowo niebezpieczne; gdy grały np. "w oko", to grały o swoje oczy. Później spotkałam opis tego w czyichś wspomnieniach z tym jednak, że tam pisano o mężczyznach, a tu grały kobiety: która przegrywała, tej wydłubywano oczy.

Nas, grupę Polek wyraźnie strzeżono. Bardzo sympatyczny był nasz obozowy stróż. Drzwi do naszego pomieszczenia były wzmocnione łopata, aby utrudnić kryminalistom ewentualne wtargnięcie do nas. Oprócz wspomnianego stróża był jeszcze mrody, sympatyczny chłopwie Lonia. Obaj byli skazani na podstawie kryminalnego paragrafu: Wania był chyba defraudantem / z wykształcenia agronom/.

Ponieważ byłam chora na nogi, przeniesiono mnie do szpitalika, który mieścił się w jednej z ziemianek /albo może w drewniaku/. Tam byliśmy tylko we dwie: ja i Marta, która cnciała przejść do rodziny na stronę niemiecką. Dostała gruźlicy i uemierała w tym szpitalu.

Ten sympatyczny defraudant Wania był poetą - pisał wiersze. Właśnie od niego uczyłam się po rosyjsku. Kiedyś powiedział mi czterozwrotkowy wiersz, znany, ale nie wiedział, kto jest jego autorem. Ja znałam ten wiersz z Polski, był to wiersz Puszkina, znany mi jak powiedziałam z przekładu Tuwina. Był to dokładnie wiersz Puszkina "Do A.M."

Mrozy były siarczyste i dlatego nie wychodziłyśmy na zewnątrz tym bardziej, że nie miałyśmy ciepłego ubrania.

Dzień 17-go października 1940-go roku był dla nas wielkim przeżyciem. Właśnie zezwolono nam na napisanie listów do rodzin. Trzeba było mieć papier i napisać list po rosyjsku, bo

to wszystko musiało przejść przez obozową cenzurę. Papier miałyśmy. Na kopertę Wania przyniósł kawałek paczkowanego papieru. Wszystko to zakleiliśmy mydłem nie bardzo wierząc w to, że to wszystko dojdzie do Białogostoku.

Wania, który dokształcał mnie w rosyjskim - przyniósł mi Lermontowa - piękny poemat "Mczyry". Bohaterem jest książę przebywający w niewoli, który nagle wyrwa się na swobodę i ginie. Zacytowałam Wani urywek z tego utworu:

- I smutno pojąłem,
- że już do ojczyzny nie wrócę.

I wówczas Wania powiedział do mnie: tak, ty już nigdy nie wrócisz do ojczyzny. Ja na to się obruszyłam: wrócę, my wszystkie wrócimy, niech tylko wybuchnie wojna z Niemcami. Muszę powiedzieć, że od początku nie traciłyśmy ducha, nawet we lwowskim więzieniu: to niemożliwe, Hitler nie poprzestanie na tym i z całą pewnością pójdzie na Związek Radziecki. To było oczywiste jeśli się weźmie pod uwagę tę jego zachłanność.

Atrakcją była "bania", prawdziwa rosyjska kąpiel, do której chodziliśmy pod konwojem. Z obozu nie można było wyjść na zewnątrz pod nieobecność konwoju. Zresztą poza silnie strzeżonym obszarem, którego pilnowali uzbrojeni strażnicy na "wyżkach", był rozległy obszar "rozkonwojowany", na którym przebywali więźniowie z paragrafów "bytowych", czyli więźniowie niepolityczni. Do bani szło się przez osnieżone pola. W drewnianym budynku były miotły brzoźowe i drewniane szafliki. Do dyspozycji miałyśmy kawałek czarnego mydła. Ja osobście starałam się moczyć jak najdłużej swoje zmęczone nogi. Wracałyśmy mokre, z rozwianymi włosami, na dworze było około dwudziestu stopni mrozu, a żadna nawet kataru nie dos-

tała.

29-go listopada w obozie zapanowało ogólne poruszenie: Anielka Kłok ze Lwowa dostała od rodziny pieniądze. Pieniędzy nie dawano więźniom do rąk - otrzymywaliśmy tylko kwity. Dla nas najważniejsze było to, że wieść o naszym pobycie w tym właśnie obozie dotarła do naszych rodzin.

W obozie przeczytałam kolejną książkę, którą dostarczył mi wania. Była to książka Waltera Scota "Ryszard Iwie Derce". Książka była oczywiście napisana w języku rosyjskim - zrozumiałam jedną trzecią. Do dziś z języka rosyjskiego jestem samoukiem, ale rozumiem wszystko. I co dziwne, nauczyłam się poznawać narodowości. W obozie na przykład była z nami Tatarka: jej wymowa była miękka. Później - już na wolności - w Kazachstanie spotkałam Niemców - zesłańców. Mówili po rosyjsku, ale po akcencie łatwo było można poznać, że Rosjanami nie są, że są obcy.

W trakcie mojego pobytu moja koleżanka zmarła. Przed swoją śmiercią powiedziała mi, żebym zawiadomiła o jej śmierci jej siostrę. Adresu siostry nie podała. Jej siostra nazywała się Jadwiga Chomska. Niedługo wróciła do Polski i dowiedziałam się, że osoba o tym nazwisku pracuje w Polskiej Agencji Prasowej. Przekazałam jej wiadomość o tym, że jej siostra zmarła na moich oczach.

Piątego grudnia skończył się mój pobyt w szpitaliku. Wówczas to grupę Polek przeniesiono z trzeciego podpunktu na czwarty, odległego o sześć kilometrów. Nowy punkt nazywał się Rozewo Orłowo. Dopiero tam właściwie po raz pierwszy zetknęłyśmy się z Rosjankami. Tam też były - chociaż w mniejszości - kobiety więźniarki polityczne. W obozie były toalety, w których, pod kranem można było umyć się zimną wodą, podmyć się

i rozczesać włosy. Kryminalistek było mniej, a właściwie bardzo mało. Natomiast mężczyźni byli kryminalistami, wszyscy bardzo starzy ludzie. Trudno jednoznacznie stwierdzić, czy to byli kryminaliści: w każdym razie nie byli z paragrafów niepolitycznych. Rosjankę dobrze zapamiętałam:

/ - Werę Maksymowną, Sonię Siergiejewną, Lenę i Zenię, Agrypinę Jakowlewną.

Wera Maksymowna była arystokracją barakową: nie chodziła do pracy, miała różne, bardzo porządne rzeczy. Ona i Lena dostała dziesięć lat za męża. Jej mąż był z pochodzenia Włochem, który przyjechał na kontrakt do Związku Radzieckiego na kontrakt i coś budował. Była więc żoną cudzoziemca. Kiedy nadszedł rok 1937-ny, mężów automatycznie rozstrzelano, a ich żony też automatycznie otrzymały wyroki po dziesięć lat. I tylko za to, że były żonami cudzoziemców.

Zenia na ten przykład była żoną Chińczyka i mieszkała gdzieś na Dalekim Wschodzie. Sonia Siergiejewna - dokładnie nie wiem -. Agrypina Jakowlewna - jak było wiadomo - nie tylko że straciła męża i sama otrzymała wysoki wyrok - miała dwoje dzieci o których nie wiedziała, gdzie są. Nie wiedziała nawet, gdzie ich będzie szukać, gdy wyjdzie z obozu. A to były skutki 1937-go roku.

Była też tam komunistka polska / Jadwiga Nietupska - była tu od 1937-go roku. Była chyba z tych, którzy przyjechali odwiedzić rodzinę. Zachowywała się bardzo nietypowo: do nikogo nie odzywała się, nigdy nie słyszałam jej głosu. Miała ogromne, czarne oczy, którymi wpatrywała się w nas, czytała gazety. Wyglądało na to, że w organizacji komunistycznej musiała być jakąś funkcyjną.

Z nami przebywała też grupa około dziesięciu do dwunastu dziewcząt dwudziestolatek z Sachalinu - za kontakty z Japończykami. Jakie to były kontakty - nie wiadomo. Były to bardzo sympatyczne dziewczęta, też skazane na dziesięć lat.

Było też trochę politycznych, jak na przykład Hania, które nazwiska już nie pamiętam: trochę chuliganka - gdzieś zerwała afisz i dostała chyba trzy lata. Ale to był wyrok niejako zaoczny, po procesie nie miała. Te Rosjanki były bardzo inteligentne i cztery czy pięć spośród nich do pracy nie chodziło. Były też z nami zakonnice - strasznie skąpe: suszyły chleb i nigdy nikomu nie dały ani okruszynki.

Była też chuliganka Liza Bieczka - Folka, a może raczej Białorusinka, która śpiewała nam na złość:

- pomniu psy atamany
- pomniu polskije pany.

Początkowo byłem w szpitaliku. W obozie byli "kambioży", ni to mężczyźni ni to kobiety, hermafrodyty. Tak w ogóle do Polek odnoszono się z rezerwą. Dopiero z czasem ustaliły się bliższe stosunki.

Był silny mróz, a my nie miałyśmy odzieży. A nasz barak chodził do pracy. O szóstej rano była pobudka. Brygadziстка stawała na dachu ziemianki i wołała: a no podymajsia roboczij narod. Roboczij narod wstawał, wychodził przed budynek, ustawiał się piątkami i szedł do pracy. Zatrudniano nas przy przebieganiu ziemniaków, zbieraniu soczewicy. W zasadzie nasz obóz pracy wykonywał prace na rzecz kołchozu i tym samym były to prace polne. Początkowo nie chodziłyśmy do pracy, ale po jakimś czasie otrzymałyśmy ubrania: watowane pończochy i olbrzymie buty, gumowe oraz "buszmaty" czyli k^urtki watowane.

Moją matkę skierowano do brygady inwalidzkiej do pracy przy parnikach. Ta praca miała te dobre strony, że można było tam ukraść na przykład cebulę. Mnie natomiast zaliczono do pełnosprawnych i skierowano mnie do przebierania kartofli. To nie było daleko. Tam kartofle sadzono dopiero w maju. Przed sadzeniem każdy ziemiak posypywano proszkiem - nawozem sztucznym - żeby lepiej rosły, ale to czuło się później w smaku.

Jeśli chodzi o nasze wyżywienie, to otrzymywaliśmy zawsze troszeczkę "kipiatku", chleba natomiast miałyśmy dużo. Jeśli ktoś wykonywał normę dzienną, to otrzymywał nawet 900 gramów. W innych wypadkach otrzymywało się 700 gramów. Kiedy zaczęły się prace letnie, to obiad dowożono na pole: były to drugie dania w postaci kaszy jaglanej. Oczywiście była też i zupa zwana "bałandą". Odnoszę wrażenie, że tamtejsi ludzie pozostający na wolności mieli znacznie gorzej zwłaszcza jeśli chodzi o chleb.

Miałam bardzo dobrą brygadystkę, Ukrainkę, ale Ukrainkę radziecką. Nazywała się Hajduczek. Ona nie miała najlepszego stosunku do mnie. Zresztą niektóre Ukrainki oraz Polki z marginesu społecznego nienawidziły kobiet - Polek, pędziły do pracy bo chciały uchodzić za przodownice pracy. Wyśmiewały mnie, że ja nie umiem pracować tak szybko jak one. Okopywałam kartofle z koniem. Poranki na Syberii są bardzo zimne, na szczęście w dzień jest znacznie cieplej.

Moje nieszczęsne nogi były nadal przyczyną moich kłopotów, bo dawne dolegliwości znowu się odnowiły.

Wigilię spędziłyśmy na narach. Otaczaliśmy wianuszkami coś, co przypominało miasto choinkę, wykonaną z brzoźowych pałków. Śpiewaliśmy nasze kolędy ku wielkiemu zdziwieniu na-

szych radzieckich współtowarzyszy. Na Nowy Rok czekała nas niespodzianka: Kazia - pierwsza z grupy - otrzymała paczkę z domu... kilka dni później - siódnego stycznia - był to już rok 1941, przebudziłam się w nocy i w tym momencie ktoś powiedział "Kosinskaja". Był to ktoś, kto przed chwilą wszedł do baraku. Szybko zeskoczyłam z nar i dowiedziałam się, że do mnie nadeszła depesza. Jej treść była następująca: Pismo, diengi wysłano, wsie zdrowy, syn celujeł."

Było to dla mnie wielkie przeżycie. Odtąd zaczęła się nasza korespondencja: moja z teściową. Moi teściowie znali bardzo dobrze, bo przecież pochodzili z Białegostoku. Wolno było pisać raz na miesiąc i raz na miesiąc list otrzymać. Cała korespondencja przechodziła oczywiście przez cenzurę. Z tego powodu listy obowiązkowo musiały być pisane po rosyjsku. Przebywającym z nami dziewczętom listy pisała moja matka, bo wystarczająco znała język rosyjski.

Teściowie do mnie wysłali w sumie 11-cie listów, pięć paczek oraz kilkakrotnie pieniądze. Listy bardzo szczegółowo opisywały rozwój dziecka: jak się rozwija, jak mówi, czy już siedzi, jak go ubierają i kiedy wychodzi. Zamierzam przedstawić wybrane fragmenty niektórych listów, które otrzymałam od mojej teściowej.

"... Kiedy byłam jeszcze we Lwowie - pisała teściowa - zaniósłam go do profesora Chwalibogodzkiego, który zbadał go bardzo dokładnie i orzekł, że Krzys jest zdrow i dobrze zbudowany. Doktor napisał mu dietę na pół roku. Teraz co miesiąc chodzę z dzieckiem do lekarza i postępuje według jego przepisów."

"... Upłynęło już dziesięć miesięcy, jak nie mam wieści

od Witolda. Andrzej, który dostał dziesięć lat, znajduje się jeszcze we Lwowie. Henryk pracuje w szkole /to dotyczyło mojego ojca, który przedostał się do Warszawy/. Paczek z Bialegostoku wysyłać nie wolno. Będziemy starać się, aby przy pierwszej możliwości przesłać. Bądź pewna droga Myszko, że jak tylko i co będzie można, wyślemy ci odpaz. Witold znajduje się - jak nas powiadomiło KKWD - w Nikołajewie /KFRR/. /To jest bardzo dziwne, bo jest, jak się wydaje inny jeszcze Nikołajew, nad Morzem Azowskim/. Pisałam do niego, ale jak narazie nic od niego nie mam. O Andrzeju także pamiętam i pisałam do Lwowa, ale i od niego także odpowiedzi jeszcze nie otrzymałam. Teraz do Lwowa pojechać nie mogę, ponieważ nie mam z kim zostawić Krzysia. Babcia choruje i nie wiadomo: poprawi się czy nie."

"Droga Myszko. Ja pamiętam o was wszystkich jednakowo i wszyscy jesteście mi tak drodzy jak Witold. Koźnica tylko w tym, że o was wiem - gdzie jesteście i że żyjecie, a o Witoldzie nic jeszcze nie wiem i to mnie boli."

"Otrzymałam list ze Lwowa od Tadziowej, naszej znajomej. /nie znałam jej/. Piszze mi, że dziewiętnastego stycznia podawała swojemu synowi bieliznę i produkty, ale dla Andrzeja nie przyjęli. Pewno go już wywiezli. Pisała do nas, że lokatorzy, którzy zajęli nasze mieszkanie w Boże Narodzenie zaczęli na śmierć. Widocznie nie umieli obchodzić się z piecem..... mieszka obecnie 12 km od Lwowa. Ciężko jej i ja jej trochę pomagam /Chodzi o Pedową/. O Witusiu i Jędrusiu niczego nigdzie nie mogę się dowiedzieć i to mnie bardzo męczy".

"Posłałam Witkowi pieniądze. Przynszły 3 powrotem z zapi-

sem: "Takowo w tiurnie niet". / z Nikołajewa. Sama już nie wiem, gdzie mam go szukać. Mija już rok, jak nic o nim nie wiem. O Jędrusiu także narazie nic nie wiadomo. Musze wasz list przesłać Heniowi. Bardzo interesuje się Wami!

"Mieszkanie składa się z trzech pokoi i kuchni, dwóch korytarzy, wanny i ubikacji. Jeden pokój zajmuje lejtnant. Mamy cudny ogród, gdzie Krzys będzie mógł cały dzień spacerować z prababcią. Chcę pisać do Moskwy do "Gułagu", w sprawie naszych chłopców ale nie wiem, co znaczy "Gułag". Pisałam do Kijowa, Lwowa, chodziłam do NKWD w Białymstoku, ale do tej pory nic nie wiem o nich. Jeśli wiecie, gdzie można napisać - napiszcie nam o tym."

"Wysłałam już piątą paczkę na nazwisko "Błażewski". Wysłałam przez swoją pracownicę, która była u was tak, że adres nadawcy będzie nie mój. Tak teraz wszystko jest, ale drogo. Otrzymałam wezwanie do NKWD w sprawie Jędrusia dlatego, że pisałam i zapytywałam o niego w piśmie do Lwowa. Nic nowego nie powiedzieli, adresu nie podali. Powiedzieli tylko, że jest zasądzony na 10 lat obozu pracy, a jeśli będzie wolno, to on sam do mnie napisze. Więcej nic nie mogę zrobić tylko oczekiwać listów. Ja myślę, że on do mnie nie napisze, ponieważ mnie mało zna i nie wiem czy on wie, że to ja mu zawsze, tak jak Witusiowi - podawałam bieliznę i pieniądze. Po sprawie, kiedy wyjeżdżałam ze Lwowa, z wielkim trudem otrzymałam pozwolenie na podanie bielizny Jędrusiowi i Witkowi. Tylko pięć osób podawało. Dla Witka nie przyjęli. Pewno go już nie było. Przełożyłam wszystko do worka Jędrusia i on podpisał swoje imię i nazwisko - że otrzymał. Także podawałam im zawsze tytoń. Uszyłam ładne woreczki na tytoń i zapaliki. Pieniądze też

podawałam. No jakoś tak wyszło, że najmniej z was wszystkich otrzymałam witek. Raz nie przyjęto dla niego paczki. W sprawie Witolda też pisałam dwa razy do Moskwy. Odpowiedziano, że na to pismo otrzymam odpowiedź ze Lwowa. Bardzo niepokoję się o Witolda, bo już więcej niż rok nie mam oń niego niczego. Od Józefa Kaniaka też nie miałam listu. Myślę, że teraz trudniej z listami".

Czy dostaliście paczkę z materiałem na sukienkę? /wówczas matka miała "kurzą ślepotę"/, czy dostaliście też okulary? /Żadne okulary nie dotarły/. Przysłała mi wówczas pięć książek: Żeromskiego "Przedwiosnie" i "Pomyłki", Mickiewicza "Pana Tadeusza" i "Grażynę". Ale tych książek mi nie dano.

"Od mego Józefa Kaniaka z Warszawy otrzymałam 22-go kwietnia list, a pierwszego lipca 1941-go roku paczkę. Ojciec pisał: "W paczce znajdują się Twoje stare rzeczy. Kiedy otrzymam wiadomość, że to wszystko dostaliście, postaram się wysłać wam inne rzeczy. Tylko zaraz napiszcie, co wam potrzeba. Ja teraz jestem nauczycielem w szkole podstawowej pod Warszawą. Uczę dwunastoletnie dzieci. Otrzymuję miesięcznie 260 zł i z trudem sam mogę za te pieniądze żyć. Powiedz Marii Karłownie, żeby nie bolała, nie rozmyślała i nie tęskniła, a była zdrowa. Pamiętajcie o mnie, waszym bliskim. To bardzo szczęśliwie, że Twój syn ma babcię i prababcię, które z troską go pielęgnowują i on jest dla nich jak promień słońca."

Po przeszło pięćdziesięciu latach trudno sobie przypomnieć szczegóły obozowego życia. Pamięta się tylko to. Zima na Syberii jest długa, trwa chyba do kwietnia. Zachowałam w pamięci owe dni w zimnym baraku oraz "purgę" - burzę śniegową. Nie było widać światła, kiedy my odziane w watowane busz-

maki /kurtki/, walonki i watowane czapki dziobałyśmy kilofami zamarznąłą ziemię. Innego rodzaju była praca na "rozkonwojce" w ziemniakach, przy ich przebieraniu. Bardzo trudno było oprzeć się pokusie i nie ukraść choćby jednego. Trzeba było go gdzieś schować, aby móc wieczorem ugotować w kociołku albo przypiec na blasze albo zjeść na surowo z garstką wyproszonej u kogoś soli.

Przy wejściu do obozu piątkami pod karabinem "strelka" na wachcie zawsze odbywała się rewizja. Żołnierze macali po kieszeniach buszmatów i spodni. Zdarzało się tak, że u więźniarek znajdowano całe worki wypełnione soczewicą lub kartoflami ukrytymi na piersiach lub w kroku. Kilkakrotnie zarzykowałam przeniesienie ziemniaków w butach. Tylko trudno było iść, bo buty były wypchane szoną, a ziemniaki się turlały podczas chodzenia. A tu trzeba było iść bardzo pewnie. Za takie sprawy można było dostać dodatek do wyroku.

Siężkie były pudowe, szesnastokilogramowe wory, wypełnione kartoflami, które trzeba było wnosić od ziemianek na pola. Ramięta się też codzienne ostrzeżenie strażnika, wygłaszane przed wyruszeniem do pracy: ostrzegam, w przypadku próby ucieczki lub niepodporządkowaniu się poleceniom konwoju, będzie użyta broń. Zrozumiano? Wpiero.

Znojna praca i głód wyczerpywały ludzi. W terenie co jakiś czas były brzożowe laski, a wśród tych lasków kwitły piękne, czerwone tulipany. W każdym razie wyglądały tak jak tulipany. Miały nieco większe pąki. Nie miały żadnego zapachu, ale były bardzo piękne.

Paczki były prawdziwym skarbem nie tylko dlatego, że zawierały bardzo cenne dla nas produkty, które można było wymienić u Rosjanek na chleb chociaż ceny dyktowano paskars-

kie. Ale na przykład płótna, którym nasze paczki były obszyte - Ela Jurkiewicz - była absolwentką szkoły krawieckiej - uszyła mnie i matce bluzki, a z materiału przesłanego przez Czechnę wyszyła spódnicę dla matki i burę sukienkę z krótkimi rękawami dla mnie. Ela niezłe zarabiała szyciem wśród kosjanek.

Pod koniec czerwca wielka nowina, chociaż teraz gazety rzadko przychodziły do Nietupskiej, ale Lena Greczynka po cichu powiedziała zaufanym o tym, że wybuchła wojna z Niemcami. Ta wiadomość dotarła do nas pod koniec czerwca.

18-go lipca 1941-go roku wszystkie obywatelki polskie wywołano za bramę. Przyszedł naczelnik i odczytał pismo z którego dowiedzieliśmy się, że dwunastego lipca tego roku rząd Gen. Sikorskiego zawarł umowę z rządem radzieckim, że będą nawiązane stosunki dyplomatyczne, że na terenie Związku Radzieckiego zostanie utworzona polska armia która wspólnie z Armią Czerwoną będzie walczyć przeciwko Niemcom, a wobec dotychczasowych więźniów zostanie zastosowana amnestia. Obywatelki polskie - powiedział naczelnik - wyjdą na wolność i będą pomagać narodowi Związku Radzieckiego w walce z Niemcami. Teraz też idzie walka o chleb dla wojska. Dlatego zanim opuścicie obóz musicie dobrze pracować i czekać cierpliwie chwili uwolnienia.

Rosjanki nie chciały wierzyć własnym uszom. To nieprawda - mówily - nie wyjdziecie na wolność. Wsadzą was do innego obozu. Pytaliśmy: jak to? Nie wierzycie własnej władzy?

W kilka dni później wpadła mi do rąk gazeta, w której na pierwszej stronie zreprodukowano znamiennej fotografię /była to rosyjska gazeta, tytułu nie pamiętam/. Na fotografii byli

różni generałowie radzieccy z generałem Gundurowem, który był chyba przewodniczącym Związku Wszechsłowian. Na fotografii - oznaczony specjalnie krzyżykiem - był generał Januszajtys z podpisem, że jest to polski generał - działacz Związku Słowian. Było więc wiadomo, że Januszajtys wyszedł już z "Butyrek". Było widać, że coś nowego dzieje się lub zacznie się dziać.

Tymczasem moje nogi ponownie pokryły się wrzodami. Z coraz większą trudnością szłam te 9 km na pole, z coraz większą trudnością pracowałam. Po jakimś czasie wrzody przerzuciły się na krocze i piątego sierpnia znów znalazłam się w szpitalu obozowym. Przemywanie wrzodów nie pomagało. Tak doleżałam do 28-go sierpnia, kiedy to cała grupa obywaterek polskich miała iść na wolność nazajutrz. Okres oczekiwania na wyjście na wolność - chociaż był to okres, w którym władze obozowe były przychylnie ustosunkowane do Polek - miały swój charakterystyczny incydent. Ela Jurkiewicz czy Ksenia Nowakowa poszły do karceru za to, że opowiadały Rosjanom, że w Polsce jadły czekoladę i pomarańcze.

29-go sierpnia przed bramę obozową zajechała podwoda: konik z furką. Na tej furce Polki ułożyły swoje zawiniątka. Konia prowadził nie uzbrojony "streżok" lecz cywil. Na tej furce jechałam ja, bo ze względu na wrzody nie mogłam postąpić. Do furki doprowadzono mnie pod łokcie z ziemianki. Wcześniej babki rosyjskie osmarowały moje wrzody mąką z miodem. Wydaje mi się, że właśnie to przyczyniło się do przyspieszenia pęknięcia moich wrzodów.

29-go sierpnia wyszliśmy za bramę. W osrodku centrali Wierchnie Trebulińskie pospiesznie przygotowywano nasze do-

kumenty. Każda z nas otrzymała "Udostowierenię", a w nim było stwierdzenie, że jest obywatelką polską i że wszystkie władze radzieckie są proszone o pomoc. To był nasz dokument. Dostałyśmy też po 15 rubli na dziesięć dni diet oraz nasze pieniądze, jakie były na naszych kwitach oraz bilety kolejowe. Tu nas zapytano: gdzie chcecie jechać? Tak przynajmniej zapytano mnie i matkę. W Europie jest wojna. Dajemy wam wybór. Omsk, Tomsk lub Kustoraj./Kustanaj/.

Omsk i Tomsk nas przerażały. Od dawna i powszechnie było wiadomo, jak tam jest zimno. Wybrałyśmy dlatego Kustanaj, bo nam powiedziano, że tam jest bardzo dużo Polaków ze zsyłki. Tam pojechaliśmy, z nami była Stacha, bo Kazia chyba nie. My dwie i Stacha tylko z grupy Januszajtysa pojechaliśmy do Kustanaju. Reszta się gdzieś rozproszyła. Kazia Korczyńska była wywieziona z rodziną i pewnie pojechała do rodziny. Manszełowna w ostatniej chwili - tuż przed wybuchem wojny z Niemcami dowiedziała się, że jej rodzina została wywieziona do Semipałatynska.

Ciężarówkami zawieziono Polaki do Maryńska - 50 km od obozu - to na stacji kupiliśmy ciastka, chociaż były stare. I wielka rozkosz: jesteśmy bez strażnika, wszystko wolno. Podróż pociągiem, niesamowicie zatłoczonym uciekinierami - przez Nowosybirsk i Czelabińska - trwała 9 dni. Tu należy wspomnieć o Cldze i Wandzi, z którymi spotkałyśmy się w Nowosybirsku. Ich rodziny były wywiezione 13-go kwietnia do Ałtajskiego Kraju.

Innego rodzaju było spotkanie z Wasią. Był to podoficer Armii Czerwonej, wracający z urlopu do jednostki, zainteresował się moją osobą. Opiekował się mną. Jara grupa politycz-

nych od Januszajtysa, na moje konto miała co jeść przez cały okres podróży. Wasia znajdował chleb i kury. Na licznych postojach biegał do punktów medycznych i przynosił lekarstwa. Z przejęciem odrywał od moich nóg lepiące się od ropy bandaże, smarował płynem dezynfekującym rany, opatrywał maściami, a nocą odstępował mi swój kąt, aby moje nogi miały ciepło. Nieraz namawiał mnie podczas tej podróży: jedź do kołchozu, do mojej mamy i do mojego taty, a ptasiego mleka ci nie zabraknie. Wasia to był poczciwy, szczery chłopak. Czy wrócił szczęśliwie z wojny do domu?

Tródnego września 1941-go roku przybyliśmy do Kustanaj. To był północny Kazachstan. To był obłastnyj gorod. Tam w tym czasie był elewator, szpital, szkoły czy szkoła, trzy stołówki. Jako siła pociągowa były wielbłądy. Było dużo piachu i niesamowite błoto. To było miasto na stepie, miasto stepowe. Ziemia była tak żyzna, że nóg nie można było wyciągnąć z mazi. Wszystkie kobiety, które przybyły z Nowego Orłowa, były przerażone. Pieniędzy już właściwie nie miały, a jednocześnie przyzwyczajenie do tułaczki oraz nadzieja, że może gdzie indziej jest lepiej - pchało je dalej. Głos wewnętrzny podszeptował, żeby jechać do Taszkentu, który pachniał owocami, zielenią. Kilka "kułaczek", tych, które miały jeszcze pieniądze, dokupiły bilety i opuściły Kustanaj.

Pozostała grupa nie bardzo wiedziała, co ze sobą robić. Najskusniejsze wyjście wydawało się nam takie, aby pojsć do NKWD. Ale NKWD wcale nie przejmowało się nami. Powiedziano nam, że możemy nocować w "ewakuopunkcie"-punkcie ewakuacyjnym i przestali się nami zainteresować.

Punkt ewakuacyjny mieścił się w szkole w dużych, dwóch

salach. Przędę wszystkie było tam masę ludzi z Ukrainy, ze swoim dobytkiem. Ten punkt ewakuacyjny to była rozpacz: konieczność obijania się w wielkiej gromadzie, to niepewność jutra, wszy, brud i głód.

Sale były wypełnione kółkami i za różną protekcją te róż-
ka znajdowano. Był tam więźniom musiano wystręczyć miejsca na
dłaskach podłogi... kieszonkami wieszając wszelki pieniądzy.
Dojadalysmy też wszelki pieniądzy. W tym punkcie ewakuacyjnym ni-
był oświetlony i tonął w nieśmiałości i ciemnościach. Kuno
poczuł na przemieszczaniu, przemieszczaniu, z kobiety kłocili-
ły się ze sobą. W pomieszczeniu widniała masywna postać. To
na punkcie ewakuacyjnym było to... kłocili się w to...
dale, którzy wyprzedzili siebie na przód, w kierunku bocznych
ścił oraz już niekontrolowany w tym miejscu były miejsce wozny.

Nierwale dla siebie, na... kłocili się w tym miejscu na powi-
tiskach... kłocili się w tym miejscu... kłocili się w tym miejscu...
kłocili się w tym miejscu... kłocili się w tym miejscu...
kłocili się w tym miejscu... kłocili się w tym miejscu...
kłocili się w tym miejscu... kłocili się w tym miejscu...
kłocili się w tym miejscu... kłocili się w tym miejscu...
kłocili się w tym miejscu... kłocili się w tym miejscu...
kłocili się w tym miejscu... kłocili się w tym miejscu...

... kłocili się w tym miejscu... kłocili się w tym miejscu...
... kłocili się w tym miejscu... kłocili się w tym miejscu...
... kłocili się w tym miejscu... kłocili się w tym miejscu...
... kłocili się w tym miejscu... kłocili się w tym miejscu...
... kłocili się w tym miejscu... kłocili się w tym miejscu...
... kłocili się w tym miejscu... kłocili się w tym miejscu...
... kłocili się w tym miejscu... kłocili się w tym miejscu...
... kłocili się w tym miejscu... kłocili się w tym miejscu...
... kłocili się w tym miejscu... kłocili się w tym miejscu...
... kłocili się w tym miejscu... kłocili się w tym miejscu...

A trakcie rozmowy pani Czernakowa zaproponowała jeden
nocleg u siebie. Ponadto wleziła coś o intratnych posiadaczach

i obiecała, że jeśli będzie miała możliwość, to takie nam nas-
tręczy. Z ewakuacyjnego punktu po jakimś czasie nas wyrzucio-
no. Po tygodniu razikowania matka znalazła pracę w miejsco-
wym elewatorze polegającą na noszeniu worków z pszenicą, pra-
cę płatną po cztery ruble dziennie. Najważniejsze było jed-
nak to, że doszło do porozumienia z nocną stróżką elewatora,
biazorusińką Tasią. Ona zaprosiła nas do swego domku. Na noc
odstępowała nam łożko, a na dzień mieszkanie. Jeśli dobrze pa-
miętam - chciała 15 rubli za to. Zaraz postanowiliśmy prze-
nieść się. We wrześniowy, późny wieczór taszczyliśmy swoje
małe tłumoczki zagierne, a na dowód rozpoczęcia burżuazyjne-
go życia wypiliśmy po pół litra mleka prosto od krowy.

Domek Tasi stał na końcu miasta, niedaleko stacji wśród
innych parterowych domków. Najważniejsze było to, że był tu
piec ogrzewany 'kiziakiem' /krowimi plackami/ i że było
łożko z prawdziwym materacem. Tak, jak w starym filmie: w dzień
na łożku królowała Tasia, a w nocy - gdy szła do pracy do e-
lewatora - matka ze mną. Poza tym Tasia miała dużą, olaszaną
miszkę, do której po nanoszeniu wody z miejscowej studni. moż-
na było się umyć.

Matka pracowała w elewatorze już trzy dni, zanim mnie uda-
ło się znaleźć pracę. W poszukiwaniu pracy stale trzymałam
się stacy, gdyż ona miała więcej leniuchowskiego "wyczucia"
i było czego nie przajmowała. Rydzi - Polacy pracujący w miej-
scowej makaroniarni podpowiedzieli nam, że brakuje ludzi do
sezonowej pracy przy zasoleniu ogórków, pomidorów i kawonów.
Obie zdecydowanie stanęliśmy przed przewodniczącą artelu
"Krasnyj Piszczewik". Przewodniczący - kobieta ewakuowana
aż z Kijowa uswiadomiła nas na wstępie, że praca tutaj trwa

od osmej rano do siedemnastej wieczorem, z przerwą godzinną na obiad, a płaca wynosi osiem rubli dziennie. Do pracy mogę przystępować zaraz, a główne zadanie to nagotować wody i wy-parzyć duże beczki, t. zw. "czany" na ogórki. Nie byłam pewna, czy potrafię zagotować dwa kotły wody, gdyż jako żywo nigdy nie paliłam w tak wielkim piecu. Ale jakos poszło. Z makaroniarki nakładzysmy węgla i rozpaliły w piecu. Mieścił się on w przestronnej piwnicy, gdzie także był wyrabiano kwas chlebowy.

Staruszek wyrabiający kwas był bardzo miłym dziadkiem i gdy opuszczaliśmy na chwilę piwnicę, obydwie zjadłysmy się sucharami prosto z beczki, a także spenetrowały, gdzie jest gotowy kwas i wypiliły cały litr.

Kiedy przyszła pora obiadowa, można było kupić po kilogramie chleba w cenie urzędowej - 90 kopiejek i kilogram pomidorów w cenie 80 kopiejek.

Po obiedzie obydwie próbowałyśmy wyszorować beczkę na kiszzenie ogórków. Stacha wlaża do beczki, a pose i brudne jej pięty sterczały z czelusci i chociaż miałam wątpliwości co higieny okazało się, że to nic nie szkodzi, nikt nie zwracał na to uwagi.

Tak minął pierwszy dzień roboczy, zupełnie sytnie, bez poganiania. Nikt nie interesował się rezultatem pracy, tak że Stacha stwierdziła, że jest w tym jakieś oszustwo i że obiecanych osmiu rubli nie dostaniemy. Ale grunt, że byłyśmy syte, a chleb i pomidory można było zanieść do domu.

Wszystkie Polaki, byle zagłębione, urządziły się podobnie. część z nich znalazła się w tej samej firmie, co ja, część pracowała w ogrodach miejskich. Matka chodziła do pracy na dwie

zmiany, cały czas wyrzucała pszenicę z ciężarówek, aż w końcu, gdy kazano nosić worki ze zbożem, do czego nie miała siły, zwolniła się z wielkim wrzaskiem ze strony zarządu. Tymczasem dochodziły słuchy o formującej się armii. Polki zamieszkałe w Kustanaju, te z wolnej zsyłki, wyprzedawały koźdry, ubrania i jechały do Buzułuku pod Urenburg /Uzkałow/, gdzie tworzyła się Armia Andersa.

Grono trzech pan z czystej sympatii do matki obdarowało ją 42-gim numerem bucików męskich, które wobec jej opłakanego, przegniłego obuwia przedstawiały się luksusowo. Matka zgodziła się do pralni za cztery ruble dziennie i wytrwale prała bieliznę po rannych. Waniła nogi bucikami, przeciągi mężczyźy ją, ręce drętwiały od pracowitego tarcia bielizny. W tym czasie ja i Stacha myłyśmy beczki, sólży ogórki, przebierały pomidory i najadały się kawonami. Zasady obowiązywała taka: jedz na miejscu, ile chcesz, byleś nie krał. Potem Stacha przeniosła się do pralni, a następnie, po poznaniu jakiegoś podchorążego, który przyjechał z armii po rodzinę, wyjechała z nim do Buzułuku.

Z końcem września praca przy zasolaniu stara się naprawdę ciężka. Siąpiły deszcze, a trzeba było nosić wodę ze studni do beczek stojących w zimnej piwnicy. Ból żarła ręce, zimne pomidory mroziły palce, żorądek był przeładowany gliniastym calebem i zielenizną.

Matka uszyła mi fartuch z worka, aby nie niszczyć płaszcza. Krałam cebulę z marchwią z magazynu i z piwnicy, tak to robiły wszystkie. Później już część dziewcząt poszukiwała stałej pracy na zimę i rzeczywiście, niektóre dostały się do artebelowej piekarni. Ciężko tam pracowały, ale przynajmniej cnie-

ba było pod dostatkiem, a w chłody zapewnione miejsce pod piecem.

Pazdziernik przynosił nowe zmiany w życiu miejscowej Polonii. Przede wszystkim z chwilą ogłoszenia amnestii, Polacy rozrzucony po kołchozach /ci z zsyłki/ zaczęli ściągać do wojewódzkiego miasta. Bazar zaludnił się Polakami sprzedającymi suknie, kołdry, buty. Mężczyźni niektórzy popowracali do rodzin będących na zsyłce. Jazde masy byłych kagierników w futajkach, gumowych butach przechodziły przez dworzec kustanajski. Joraz nowe pociągi i transporty wypluwały dotychczasowych niewolników, a życie brało ich wawe ramiona. Znajdowali pracę robotników i znów żyli z dnia na dzień, w łachach i brudzie, czekając mobilizacji do zapowiedzianej armii. Obojętnie słuczano wzajemnie swoich przeżyć, bo każdy prawie miał to samo do powiedzenia. Z jednakowym marszem głodowym szli do roboty i jednakowo ociężale pracowali i z gorącością w sercu, niezaspokojoną tęsknotą życia domowego, wroczyli się pod wieczór po ulicach miasta.

U Tasi paliło się tylko kiziakiem, który trzeba było zbierać, póki sucho, na stepie za miastem. A przecież spałyśmy jeszcze komfortowo w łóżku i usilnie starałyśmy się mieć niezawieszoną bieliznę i całe pończochy.

W pierwszych tygodniach października 1941-go roku przyjechała polska komisja. Wszyscy Polacy z całego Kustanaju i okolicy oblegli jedyny miasteczkowy hotel, gdzie na drugim piętrze urzędowała komisja. Jej skład wchodził: pan "G", drugi pan szczuplejszy oraz młodzieutki, może 17-toletni kadecik, który we wszystkich trzech miejscowych stołówkach robił furorę swym mundurem. Komisja dość długo jadła śniadanie i kazała

dość długo na siebie czekać. Następnie drzwi lokalu otworzyły się i przynajmniej 20 osob wpakowało się do wnętrza. Komisja rozpoczęła audiencję. Już jakaś Polka /dosyć dobrze ubrana/ sekretarzowała, a komisja objaśniała swoje przybycie, swoje porozumienie z władzami Kustanaju i wysłuchiwała częściowo żalów rodaków. Zapowiedziano mobilizację i wyjazd ludności cywilnej do armii. Inne sprawy ulegały odłożeniu do czasu wyszukania lokalu. Audiencja skończyła się do godziny drugiej. Ale nie dawa nam zbyt wiele otuchy chociaż byliśmy optymistami.

Po pewnym czasie komisja "urzędowała" już w trzech pokojach wraz z dwiema sekretarkami, a na bramie widniał orzeł z tabliczką: "Polska placówka". widok orła wzbudził radosne ściskanie gardła u rodaków. Natomiast lakoniczne odpowiedzi sekretarek oraz nieuchwytność samej komisji i ograniczoność godzin urzędowania nie wywoływały zachwytu. Ale rodacy godzili się z tym dobrodusznie i wystawali - po przejechaniu 100 kilometrów z okolicznych kołchozów - na podwórzu.

W międzyczasie bazar zapełniał się coraz gęściej Polakami sprzedającymi ostatnie łachy, a miejscowe mieszkańka zagęszczali też rodacy. Kto miał pieniądze już wyjechał do Suzużuku. Inni oczekiwali transportu. Matka i ja przemyślałyśmy nad następującymi problemami: a/ sprzedaniem czegokolwiek, aby zwiększyć swój kapitał, b/ wydobyciem z artelu jakiegokolwiek zaliczki, c/ wyjazdem do armii. Po kilku tygodniach pracy zrezygnowałam z dalszego trudzenia się. Nogi dolegały mi bardzo. Kawałek kratkowanego materiału przeznaczzonego na bluzkę dla Matki, przysłany jeszcze z Polski, został uroczyście zamieniony na szeleszczącą sumę 40 rubli.

Prawda, że był to początek wojny i ceny nie były jeszcze wysokie. Kilogram kartofli kosztował 2 ruble, litr mleka - 4 rub, ale żyliśmy ciągle oszczędzając, bo przecież trzeba było zebrać bajonską sumę na buty dla Matki. Matka miała zniszczoną, jeszcze lwowską jesionkę, a jej watówka łagierna wyglądała jak jeden czarny, potworny plaster na plecach i pierśsiach. Przecież żyliśmy ciągle myślą o transporcie, o wyjeździe do armii. Przyszedł okres kilku dni mojego bezrobocia. w "Krasnym Piszczewiku" roboty nie było już. Praca sezonowa kończyła się. Kustanaj zaludniał się ewakuantami. Przed sklepami z chlebem i mydłem tworzyły się nieskończenie długie kolejki. Włóczyłam się po mieście. Nie było dla mnie pracy ani w przedszkolu, ani w żłobku, ani w szpitalu. Dowiedziałam się, że w jednej ze stołówek będzie zasolanie ogórków i pomidorów. Gruby, o sympatycznej gębie administrator, spojrzał na mnie krytycznie w świetle naftowej lampy i odparł, że tylko dwoje ludzi mu potrzeba, a właśnie tacy już się zgłosili. Rzeczywiście, dwaj mężczyźni stali w piwnicy i niechętnie słuchali moich próśb. Ale mną targęła rozpacz: niezapłacone mieszkanie, korzystanie z porcji chleba Matki, beznadzieja bezrobocia. Zaczęłam prosić i administrator wzruszył się. Zgodził się przyjąć mnie do pracy z płacą 7 rubli dziennie i prawem jedzenia w stołówce obiadów za 50% ceny.

Nazajutrz z rana już przebierałam zimne pomidory w piwnicy stołówki. Obok pracował chmurny towarzysz, drugi nie zgłosił się. Pracowaliśmy zgodnie. Okazało się, że wiele mówić ze sobą nie potrzebujemy, bo jednakową więzienną mieliśmy przeszłość. Z tą tylko różnicą, że on był zawsze obywatelem ZSRR i w więzieniu kustanajskim zakończył odsiadanie

krótkoterminowego wyroku za pospolitą kradzież. Instykt złodziejski towarzysza udzielił się mnie i oboje zaczęliśmy penetrować po piwnicach. Szczególnie ciekawiły nas blaszanki, takie same jak do mleka, ale niewiadomo było, co zawierają. Odemknęliśmy wieko, a potem podstawiłam litrowy garnuszek, przeznaczony na zabranie obiadu dla Matki. Zachłysnęliśmy się z zachwytu. To było najcudowniejsze, przegotowane z cukrem mleko. Gęste, słodowe, używane w stołówce do białej kawy. Po wypiciu do spółki jednego litra poczuliśmy wielkie osłabienie. Napęczniałe żołądki uciskały kiszkę, chciało się spać. Z pogardą patrzyliśmy na kiszkę surową zieleń pomidorów.

Po obiedzie Ukrainiec musiał iść meldować się na milicję. Zostawałam sama na dworze, taszcząc wodę i płucząc ogorki. Pracowałam żywo, chętnie, łakomie myśląc o możliwościach jutro i pojutrze ~~ixw następnexdni~~ wypijania słodkiego mleka. Administrator przyglądał mi się pilnie, a po chwili kazał iść do kancelarii, gdzie wraz z kierowniczką kuchni, Pauliną Jakowlewną, ustalono, że już nie będę więcej myć ogórków, a włożę biały fartuch, umyję ręce i będę usługiwać w stołówce jako kelnerka. Ucieszyłam się. Pamiętam jak kiedyś w uniwersyteckim bratniaku podawałam do stołu kolegom. Bardzo mi to łatwo szło i można było szybko, jak ptak przebiegać salę. Ale obecnie była to stołówka z natłoczoną, międzynarodową klientelą, stołówka bez zapasów żywnościowych w kuchni, a Rosjanki kelnerki, które tu pracowały - były przebiegłe. Do tego wszystkiego nogi dawały się we znaki. Matka zaniepokoiła się, gdy wróciłam po ósmej z pracy, ale później w małym domku zapanowało ożywienie. Tasia prorokowała mi świetną przyszłość. Wszak mogłam jeść w stołówce, pracować w ciepłym

pomieszczeniu, może dla matki znajdzie się też tam miejsce w kuchni. Uśmiechnaliśmy się. Przecież zima powinna nas już zastać w armii.

Nazajutrz przed szóstą godziną trzeba było meldować się u Pauliny Jakowlewny. Dzień zaczynał się od sprzątnięcia stołówek, stawiania solniczek, przygotowywania chleba. Wydzielono rejony stolików i fruwałam po sali do pożuwania. Do przerwy obiadowej byłam porządnie zmęczona. Przerwa trwała godzinę, ale wówczas zapędzono mnie do zmywalni gerat na stołach. Zmęczona poknęłam szybko kaszę z gulaszem i kromką chleba, a po obiedzie bieganina rozpoczęła się na nowo. Tego dnia wróciłam dopiero po zamknięciu stołówek, tzn. po godzinie 12 w noc. Ciemne jak noc ulice, błoto chlupiące, nogi bolały, buty wrzynały się w kostki, po polach szczekały psy. Smutno i pusto. Potem już ustaliło się, że praca trwała od 6 rano do 12 w nocy, z godziną przerwy na obiad. Nie miałam jeszcze stałego etatu, tylko zastępowałam kelnerkę, która wyjechała w delegację do kołchozu pomagać w zbiorze pszenicy/pszenica gniła po polach, bo urodzaj był bardzo obfity, a ręk do pracy brakowało/.

Nie mogłam narażać matki na nocne wyczekiwanie po polach i drogach, a sama nie dawałam rady iść grzęznąć w okropnych butach z bolącymi nogami w błocie. Zabrałam więc koc i piżamę z domu i nocowałam w kantorze na stole. Po deskach obozu nie wydawało mi się to okropnością. Razem z pomywaczką Katią, starą kobietą, zsuwałyśmy dwa stoły, a następnie ja burżuazyjnie przebierałam się w piżamę, podściełałam koc pod nas obie i przykrywałam się płaszczem. Katia przykrywała się starą, zniszczoną chustką. Budziłyśmy się o 5 rano

i uważałam za punkt honoru myć się cała pod umywalkowym kranem. Po całym tym myciu czułam się nadal bardzo brudna., ale nic nie mogłam na to poradzić.

Katia była dobra. Czasem pod wieczór z litości podsuwała mi szklankę białej kawy. stydziłam się, gdy ukradkiem, aby nikt nie widział, jak ściągane zwierzę, chwytając z talerza resztki niedojedzone przez gości i pchałam do gardła. Starczałam się być solidną kelnerką, ale to nie było łatwe. Tymy przychodziły do stołownki. Różnocy Kazacy ubrani po europejsku walili widelcami w talerze, krzyczeli i robili takie zamieszanie, że odychałam wtedy, kiedy klientami byli Polacy - ci zachowywali się spokojnie. ewakuanci tłoczyli się z menażkami i kartkami chlebowymi przed bufetem. -aglądali za kotarę, do korytarza kelnerek, żydówki wrzeszczały. Trzęsły mi się ręce przy krajaniu chleba. "Tu nie ma 400 gramów" - podniosła wrzask któraś. Dostałam wypieków. Ni dy przez myśl mi nie przeszło by okradać ewakuantów z chleba. Zresztą mogłam go nabrać w bufecie po urzędowej cenie, ile chciałam. Ze złością rzuciłam chleb na wagę. Porcja przeważała 5 gramów. Mała to jednak była satysfakcja bo już od stolików podnosił się ogromny rwetes głodnych Kazachów. Wszyscy chcieli jeść. Tłoczyłam się przy okienku kuchennym razem z Marusią i Tamarą. One były sprytne. Umawiały się przy okienku szybciej, a nim ja dostałam zupę musiałam trochę czekać. Uważałam, by waga chleba zgadzała się co do okruszyny, toteż na rozwałę odchodziło dużo i stale dopłacałam z własnej kieszeni po 2-5 ruble bufetowej. Nauczyłam się w s ybkim tempie przebiegać salę z piramidą czterech wypełnionych zupą talerzy, biegałam mimo pie-

kielnego bólu nóg, bo czyraki przysychały do bandaży. Kon-
czochoy przywierały do ran, aż wreszcie matka, czuła i kocha-
jąca, uszyła z worków pantofelki lekkie, jak piórko, chociaż
Paulina Jakowlewna wymagała, aby pracować w obuwiu. Paulina
Jakowlewna mogła tak mówić, bo przyjechała do Kustanaju z
całą masą waliz, a jej wystrojona córka objadała się w kuchni

Przychodził wieczór smutny w zadymionej sali. Gwar gło-
sów mieszał się z szumem wiatru i deszczu. Wojskowi pili
na umór i awanturowali się, że nie dość szybko podają im
piwo. Ta praca osiemnastogodzinna była ponad siły. Niedziela
nie przynosiła ulgi, bo wychodne przysługiwało tylko jednej
kelnerce. Zresztą Marusia i Tamara były matkami drobnych dzie-
ci, tak że ja "nowa" musiałam poczekać na wolny dzień. Nie-
dziela rozbrzmiewała wrzaskami głodnego tłumu, trzeba było
związać się dwa razy szybciej. Wtedy czułam się po stokroć
nieszczęśliwa. Frzestrach o nieutrącenie pracy pchał naprzód
z piramidami talerzy, ale nie umiałam zapanować nad zdener-
wowaniem i upokorzeniem doznawanym od stolikowych gości.

Nocą w brudnej stołówkowej kuchni urzędował stróż i szczu-
ry. Stróż był starcem Polakiem. Mimo długoletniego pobytu w
Rosji, mówił zadziwiająco czystą polszczyznę. Był kiedyś
nauczycielem, miał wyższe wykształcenie. Krzepko jeszcze rą-
bał arzewo na podwórzu i nosił wodę. Łagodnie uśmiechał się
do mnie i opowiadał, że przed wojną w stołówce sprzedawa-
no tylko kompot z dzikich owoców i herbatę bez cukru. To
dopiero były zaludniane tereny. Szczury wyłaziły spod zlewu
i ławki.

Coraz częściej krążyły po Kustanaju wieści o wyjeździe
do armii. Cichaczem mówiono sobie, że szykuje się transport
i że załatwia te sprawy komisja polska. Matka poszła do

komisji. Objasniano ją mętnie, zapisano, obiecano dać znać. Poza tym komisja kierowała do prac w rodzaju szycia worków w elewatorze, chociaż taką pracę można było otrzymać i bez tej wysokiej protekcji. Kiedy matka wybrała się ponownie do nich, było już po piątej, skończyła właśnie pranie w szpitalu i leciała w tych za dużych butach. Ale godziny urzędowe były tylko do 17-tej. Sekretarka zmieszana odparła, że pan G. już nie urzęduje. "Jak to, przecież ja z pracy idę, nie mogę wcześniej" - tłumaczyła matka. Pan G. zjawił się bardzo rozszokowany i wrzasnął: "Godziny urzędowania skończone, zamknąć już ten bałagan". Jednakże zastępca pana G. jakoś łaskawie zakończył rozmowę z matką, podczas gdy inni interesanci musieli opuścić progi niegościnnego lokalu.

Życie w pralni stawalo się nie do zniesienia. Matka pożegnała się z kierowniczką /mimo jej grózb, że odda matkę pod sąd za samowolne porzucenie pracy/, a administrator stołówki zgodził się przyjąć ją do szatkowania kapusty. Przyjął także jeszcze dwóch Polaków i mordowali się w piwnicach i na dworze lekko ubrani, przemarznięci. Administrator zapowiedział, że w zimie matka będzie mogła pracować w kuchni, a więc zmora zimna i braku chleba odpadła. Ale przecież chodziło o wyjazd, o armię, o odetchnięcie polskim powietrzem.

Rano radio nadawało komunikaty z frontu. Na froncie źle się działo.

Nadeszła wreszcie taka chwila, gdy sprawa wyjazdu przyoblekła realne kształty. Matka szeleściła prawdziwą sturubłówką w kieszeni. Ja wyklócałam się w "Krasnym Piszczewiku" i w banku, który nie miał pieniędzy na wypłatę.

Administrator stołówki wspaniałomyślnie obliczył mi wypłatę za 10 dni męki po 18 godzin na dobę po 7 rubli za 8 godzin wypadło 144 ruble, z czego 20 rubli odtrącono za łyżki, które pokradli kulturalniejsi z gości, 24 ruble na pomoc dla Czerwonej Armii, tak że 100-rublowka w ręku była. Poza tym administrator sprzedał nam trochę kiełbasy baraniej po urzędowej cenie. Rozstaliśmy się serdecznie.

Na zakończenie, jako wyzwolony z pracy człowiek, popijałam kawę przy stoliku, a Marusia usługiwała mi. Przy stoliku siedziała jakaś para. Niewysoki mężczyzna o inteligentnej twarzy i kobieta ubrana na czarno. Znałam z widzenia mężczyznę. Nawiazaliśmy rozmowę i w chwilę potem przeżywałam największe wzruszenie. Oto literat, Teodor Parnicki, siedział z Andrzejem na Zamarstynowie. Przeżywali razem niedolę więzienną. Rozmowa popłynęła szybko.

Oto porzucałyśmy miasto Kustanaj. Oto rozpoczynałyśmy drugi rozdział swego życia na wolności. Tymczasem ruszałyśmy ze stoma rublami gotówki, trzema bochenkami chleba i kawałkiem kiełbasy. Tasia pomagała dźwigać chleb i tłumoczki do stacji i całowała się z nami serdecznie.

Na dworcu kustanajskim zebrało się dość dziwnie skompletowane towarzystwo. Kilkanaście panów dość dobrze ubranych, obstawionych walizkami, grupa oberwanców w łagiernych fufajkach, kilkunastu mężczyzn pracujących dotychczas "na posadach" zsyłkowych, kilku wyrostków ochotników i dzieci. Cały ten polski świeatek z kołchozów, więzień i obozów pracy wyruszał na nowe życie, by uszczęśliwić swymi osobami armię i pomóc jej bić Niemców. Niektóre panie były umalowane, jak za dobrych czasów. Zjawiły się Margarita i Wan-

dzia Kaweckie, znajome z dawnych przedwojennych czasów. Pułkownikowa Kawecka, zawsze żywa, obrotna. Rzuciły się nam w objęcia, naopowiadały mnóstwo nowinek z pobytu w kołchozach, zasypały serdedznościami.

Transport czekał. Ustawiono nas w ogonkach do drzwi wagonów i ściskając ruble w dłoniach, przekładając chleb z plecaka do torebek, rozpościerając manatki na ławkach, wszyscy z bijącym sercem, z wdzięcznością dla polskiej komisji w duszy - ruszyli w nową drogę.

Nikt niczego nie żałował, bo żałować nie było czego, nie chcieli i nie umieli. Dla Polaków szeroki był świat.

Przecież wreszcie pociąg ruszył. Zapadał zmierzch, ostatniego październikowego dnia 1941 roku. Rozlokowano się nawet wygodnie. Wagony były osobowe, z ubkacjami, niezbyt nabite. Przeszliśmy do przedziału Margerity. Pani Kawecka jechała z godnością osoby zamożnej, posiadającą za plecami kilka naładowanych walizek, osoby znanej jako żona emerytowanego pułkownika WP wśród całej emigracji polskiej w Kustanaju. Pani Margerita wyciągała kanapki i częstowała byle łagiernice. Jechały: p. Kuleszyna w futrze, błyskająca pierścieniami, obładowana pościelą, trzepocąca się dziewczęco pani Halina, jechała pani Zyndram-Kościąłkowska z córką Kirą. Z panów: czarował okrągłością lica i nieskazitelnie czystą koszulą pan Władzio. Pan Władzio był bardzo uprzejmy dla wszystkich dam, a najbardziej wobec pułkownikowej, toteż wychwalały go, korzystały z jego uprzejmości, częstowały przysmakami. Władzio twierdził, że był w obozie, hen gdzieś koło Władywostoku, chociaż jego pucozowaty wygląd nie zdradzał nadzwyczajnych cierpień. Brat jego, Kazimierz, antypatyczna figura, prowadził podobno w Polsce kantynę wojskową.

Pan Andruszkiewicz z osiemnastoletnim synem, zaopatrzeni przez matkę w porządne ubrania i plecaki, mieli wspierać armię wątlými ramionami. Pan A. wrocik niedawno z obozu, włosy siwiały na skroniach, ale nie chciał uchylić się od obowiązku.

Do Czkałowa, dawnego Orenburga, na granicę Europy i Azji miano zajechać w nocy. Komendant transportu, pan P. zbierał pilnie amnestyjne dokumenty, aby otrzymać chleb dla wszystkich. Ufali jego sprytowi i zaradności. Pani Kawecka znała pana P. z polikliniki kustanajskiej. Był gospodarzem z kresów.

Nocą transport wtoczył się na dworzec czkałowski. Wszyscy wyskoczyli z pociągu. Wszak tutaj miał się rozpocząć drugi etap podróży, niedaleko od Tocka, gdzie stacjonowała tworząca się armia polska. P. poszedł do komendanta stacyjnego, panowie gorliwie pomagali paniom wyładować walizy. Matka i ja wszczęłyśmy rozmowę z jakąś kapitanową jadącą z synem na wezwanie męża do sztabu armii. Okazało się, że kapitanowa mieszkała we Lwowie niedaleko naszego domu, znała całą tragedię rodzinną, widziała grabież willi. Była bardzo przejęta i z zakłopotaniem, ale natarczywie wcisnęła nam do ręki sturublówkę. Nie chciałyśmy przyjąć, ale nalegała odkładając zwrot długu na czasy powojenne.

Jakiś kapitan z biało-czerwoną opaską wyszedł na dworzec i zapowiedział, że ani Tock, ani Buzułuk nikogo już nie przyjmują, że owszem, jeśli ktoś ma wezwanie, jak kapitanowa, ewentualnie młodego Andruszkiewicza do szkoły lotniczej mogą przyjąć, ale poza tym tak wszystko koło Czkałowa jest zapchane ludnością cywilną i wojskiem, że mowy nie ma o przyjęciu jeszcze jednego transportu. Trzeba jechać dalej

na południe, gdyż niedaleko Taszkientu tworzy się 8 dywizja i tam będzie się grupować wszystkich Polaków. Nie pomogły protesty ani prośby. Załadowano się więc posłusznie z powrotem do wagonów i ruszali w dalszą podróż. Łatwo już godzono się, że dołą polską jest czekać. Czekali dwa lata, dlatego nie mieliby okazać jeszcze trochę cierpliwości.

Dopiero gdy transport ruszył z Czkałowa, zaniepokoiłiśmy się nieobecnością pana "P". Nie tylko, że nie przyniósł chleba, ale ulotnił się ze wszystkimi naszymi amnestyjnymi dokumentami. Drapichrustow, którzy z workami poszli z nim na stację też nie było. Pani Kawecka pierwsza opanowała sytuację: no i co? Dogoni nas następnym pociągami, wszyscy jesteśmy jednakowo bez dokumentów, a nikt z władzy ani z kolejarzy wiozących Polaków nie interesuje się naszym pochodzeniem. Obecnie tego wszystko jest w porządku.

Dni upływały spokojnie. Obie z matką nie byłyśmy w stanie zjeść od razu trzech bochenków chleba, to też zaczął pleśnieć i z bólem serca trzeba było wyrzucić porządne pajdy. Kiełbasa kończyła się, zostawał jeszcze czosnek. Pieniądze wydawałyśmy od czasu do czasu, im bliżej owocowego rajku Taszkientu - na melony, rodzynki i inne słodkości. Do Taszkientu było już niedaleko. Na piąty dzień podróży spodziewano się tam zajecnać.

Krajobrazy były coraz bardziej interesujące. Odczuwaliśmy ciepło południa. Oglądaliśmy rozległe stepy, piaski, wielokądy, dziewczęta z niezliczonymi warkoczami, stare Kazaszki w białych zawojach, gliniane domki na stacjach. ...szędzie prowadzono sprzedaż lepioszków w cenie po 2 ruble za sztukę. Fascynowano wszystko, co dla nas było dziwne, opowiadano o tubej-

szych obyczajach i oczywiście przez cały czas jedzono lepioszki. W pewnym momencie stwierdziłyśmy z matką przerażenie, że pieniądze nasze topnieją nadspodziewanie szybko w stepach Kazachstanu.

W Taszkientcie sprawdziliśmy w polskiej placowce, że "P. ani nas nie dogonił ani nie zatelegrafował. Nie było wątpliwości: bezczelnie ukradł dokumenty i sprzedał różnym typom zabiegającym w tym czasie o uzyskanie polskiego obywatelstwa, które było w cenie.

Na stacji zjawily się osoby w półwojskowych mundurach, a wśród nich jakiś podporucznik ze Lwowa i obwieścił nam, że o osmej dywizji nic jeszcze nie słyhać. Naturalnie jej formowanie rozpocznie się już wkrótce. Owszem, będzie mobilizacja, a narazie należy jechać do Ferabu, które leży w Uzbekistanie i tam kieruje się wszystkich Polaków. W pobliżu leży Kanał Fergański.

Opuszczaliśmy Taszkient z ciężkim sercem. W wagonie dochodziło do starć z powodu tego, że wielu nie chciało korzystać z wody i mydła. Wiele pań ograniczało swoje zabiegi higieniczne do masażu twarzy, szminki i pudru.

Największe nasze zdziwienie budziły transporty Polaków idące w przeciwną stronę. Pytaliśmy ich na postojach - dokąd jadą. Odpowiadali, że do armii. Jak to? Dziwilismy się, przecież my też do niej jedziemy, ale w przeciwnym kierunku. Było to dla nas zupełnie niezrozumiałe.

Do jednodniowej podróży nasz transport zawrócono z powrotem do Taszkientu. Już nie puszczano Polaków do Feraou. Niektórzy z tych, którzy stamtąd wracali, mieli obłąd w oczach. Mówili, że to przeklęty kraj, pustynia "za wodą". Można było

tam dotrzeć statkiem lub pociągiem, by znaleźć się na pias-
kach pustyni bez jedzenia i picia, pod gołym niebem bez moż-
liwości ukrycia się przed słońcem. Mężczyźni, kobiety i dzieci
marli tam podobno wśród wszy, tyfusu, biegunki i malarii. Ka-
nał kazano nam tam budować, opowiadali napotkani. Jak to?,
przecież wszyscy jechaliśmy do armii? Uśmiechali się gorzko
akcja Terabu jest niezrozumiała. Chodziły plotki, że to jakieś
władze nieuczciwie "sprzedały" Polaków NKWD do budowy tego
kanału.

W stronę Czkałowa szły transporty z byłymi wojskowymi i
byłymi policjantami. Byli jeszcze w mundurach. Na stacyjkach
pochodziły do transportów Polki, osiedlone od niedawna w Uz-
beckich kołchozach. Jak żyjecie? mówią o pracy na bawełnia-
nych polach i dobrych warunkach: jeden kg chleba, jeden litr
mleka i winogrona na dzień. wiadomo, wojna, ewakuantów zaczyna
już dużo nadjeżdżać. Trzeba przetrwać i doczekać się ogólnej
mobilizacji do armii.

Wracaliśmy znow do Taszkientu. Przedstawiciel polskich
władz wydał nam skierowanie do uzbeckiego kołchozu Kermeni.
Znow zaczęliśmy podróż w brudzie i wozach, w wagonach z zawa-
lonymi ubikacjami. Gromada podróżnych powoli topniała, to znow
inni dołączali, przemieszaliśmy się. Matce odbierały humor
absolutnie kończące się pieniądze. A przecież trzeba było
dowieźć kilka rubli, do owych pól bawełnianych, reklamowanych
przez placówkę, że wcale tam nie jest źle i że: "popracuje-
cie trochę, a potem już będzie mobilizacja".

Przyjechaliśmy w grupie 40-to osób do Kirsznaj. Ktożby tam
zwracał uwagę, czy to Kermeni czy Kirsznaj. Na skierowaniu
nazwę napisano tak niewyraźnie, że można ją było różnie in-

interpretować. Dzięki tej pomocy odnalazłam brata.

Stacyjka nad ranem zrobiła urocze wrażenie. Dworcowy budynek był ozdobiony witrażami, przerobiony zapewne z jakiejś świątyni uzbeckiej. Kilku Uzbeków arzezało u stóp budynku, odziani w czarne, kolorowe szlafroki, na głowach tibiutejki. Obok osiołek. Nieduży paszek stacyjny wabił świeżością zieleni. E wolna świątało i w witrażowych szybkach paliły się wszystkie kolory poranka. Chykiem pobiegliśmy na bazar, wabiący soczystością melonów. O ten trzeba było rozejrzeć się za swoim kołchozem. I tu okazała się tragedia: to przecież było Kirszynaj, a miało być Kermeni. Najbliższa placówka polska była daleko - w Bucharze. Co robić? Wówczas ster rządów objęła Kuleszyna. Tokyskując pierścionkami poleciała do samego naczelnika stacji. Wróciła z tryumfem. Dla Polaków doczepiono dwa wagony i ruszono do Koganu, aby stamtąd dopie wreszcie do Kermeni, w geografii Azji zaznaczonego w rejonie Kizeltepe.

W Koganie stały długie szeregi pociągów. Szelom stanął i stał bez przerwy dwa dni. Z sąsiednich transportów dochodziły wrzaski gromady zrozpaczonych Polaków, którzy domagali się jedzenia oraz jakiegos zorganizowania życia. Wyszędłszy z wagonu można było przechadzać się między ogromnymi zwałami odchodów ludzkich, można było obserwowac ludzi wyzutych już z jakiegokolwiek wstydu i załatwiających się na oczach ludzkich. Smrod porączony z gorącym pyłem południa drażnił nieznosnie. Jedyną ulgę stanowił mazy wodospadzik w pobliżu wagonów, gdzie można było umyc się z góry na dół i uprac bieliznę. Ludzie wylegali na stację, siadali tempo żując resztki chleba lub przeprowadzali kuzację odwszawiającą.

Matka i ja po gruntownym oczyszczeniu garderoby, właśnie byłysmy w przedziale, gdy wpładła Kuleszyna wołając przejmująco głosem: "czy jest tu pani Błażewska, gdzie jest pani Błażewska?"

Był 10 listopada 1941 roku, godzina piąta po południu. Słońce świeciło coraz zagodniej, niosąc ukojenie. Matka podbiegła do drzwi wołając na całe gardło: "Co takiego? Czy Andrzej, powiedzcie, czy Andrzej wrócił?" wszyscy poderwali się z miejsc, a ona z płaczem czarowała chudego, zgarbionego chłopca, bardzo wysokiego, o szaro-zielonej cerze, odzianego w żagierne spodnie i futrątkę, w szarej czapce na głowie, na nogach miał kaloszowate buty obozowe, na plecach mały węzełek. Dziwnym trafem to był Andrzej, tużający się po tych samych bezdrożach Azji. Był i w Orenburgu, ale go do armii nie przyjęto. Ławszawiony, umęczony i głodny, zmurzyony i ciary leżał na porcie wagonu, na ojcowskim kocu zachowanym jeszcze przez matkę z paczki więziennej. Dopiero co uprane przez matkę onuce suszyły się. Za ostatnie 5 rubli wysupłane przez matkę zjadł dwie zupy w stołowej stołówce i zasnął.

Odnalazł nas przez kolegę z obozu, młodego Żyda, którego spotkałysmy przypadkiem poprzemnego dnia i jak zwykle pytalismy, czy nie spotkał przypadkiem Andrzeja lub Witka. Napotkany chłopak przyglądał się nam przez chwilę i powiedział że znał Błażewskiego, który ma rękę na temblaku i pracował z nim na szacuncie węglowej w Karagandzie i nawet jakby podobny do Matki. Nie chciałyśmy wierzyć, aby to była prawda. Poczytaliśmy to za młodzieńczą fantazję. Okazało się, że twierdzenie, że Andrzej jest podobny do Matki, kiedy ona już nie jest podobna do dawnej młodej damy. Okazało się, że jednak mówił prawdę.

Spotkał w mieście Andrzeja i powiedział mu, że matka i siostra go szukają.

Bardzo cieszyliśmy się z tego spotkania. Nie martwiło nas to, że ma rękę na temblaku, że jest chory, że nie mamy już ani jednego rubla, bez szans na dalsze życie, że jesteśmy w dalekiej Azji.

Zanim dotarliśmy do kołchozu Kermeni upłynęło kilka dni. Grupa mężczyzn przekonała będące z nami kobiety, że trzeba czekać na właściwy pociąg. Pani Kawecka okazała się być osobą bardzo czułą na ludzkie nieszczęście. Widząc, że jesteśmy we trójkę /matka, ja i brat/ bez grosza - wzięła nas na swoje utrzymanie. Wreszcie wysłano delegację do placówki polskiej w Bucharze. Nic im tam nie umiano powiedzieć. Wreszcie 10-go listopada 1941-go roku przybyliśmy do Kermeni.

Był to kołchoz bardzo uroczy, jak z bajki: zielony, pola bawełny. Domki były bez okien, a tylko z drzwiami. I przyjęto nas tam bardzo dobrze, bardzo serdecznie. Uzbeczki poczęstowały nas swoimi lepioskami.

Niestety - to szczęście trwało tylko trzy dni. Po trzech dniach przyjechało NKWD i pytało: ty kto? Żyd, Ukraińiec czy Polak? Żydzi i Ukraińcy przechodzili na jedną stronę, a Polacy na drugą. Żydzi i Ukraińcy pozostali, a Polaków zapakowano na wroby /dwukołowe wozy/, zawieszono na stację, a stamtąd dalej - do południowego Kazachstanu. Zapisałam wówczas panujące nastroje: wszystko to jest tajemnicze. Jedni mówią: Sybir. Drugi zaś - Iran. Ktoś inny domyślał się: zawarto tymczasowy pokój z Niemcami - więc powrót Polaków do domu.

Jeszcze we trójkę już od dawna nie mamy pieniędzy. Pani Kawecka ma jeszcze jakieś 5 rubli. Pociąg jedzie bez przerwy. Ni-

nęliśmy Samarkandę - jechaliśmy na Taszkient. Nie wiedzieliśmy: dobrze to czy źle?

Na stacji był Jan Kwapiński oraz Hanka Ordonówna w futrze. Powiedzieli, że osma dywizja będzie tworzyć się na wiosnę, a tymczasem Polacy zostaną osiedleni w południowym Kazachstanie, w okolicach Dżambużu /nazwa miejscowości pochodzi od nazwiska kazachskiego poety/. Tam będą wykonywać zimowe prace kołchozowe, a na podstawie umowy Rządu polskiego z Rządem Radzieckim wszyscy będą dostawali codziennie racje mąki /500 g na osobę dorosłą i 300 g na dziecko/ oraz mleko. Taka była decyzja.

Jechaliśmy więc dalej, w stepy południowego Kazachstanu. 4-go grudnia 1941 r. przybyliśmy do Czu, a stąd rozwieziono nas po kazachskich kołchozach. Matka, ja i Andrzej wraz z Kaweckimi, Marszałową, Wierczyńskimi /matka i córka/, Władziem i jego braćmi, Kępami i innymi znaleźliśmy się w Tendliku, oddalonym od gminy Mojun - Kum o 8 km, od rejonu Nowotroick o 18 km, a od Czu o jeszcze dalsze 10 km.

Kołchoz kazachski był inny od uzbeckiego w Keremi. W stepie stały gliniane domy z polepą. Nigdzie nie było widać drzew, wszędzie była potężna trawa stepowa oraz burzany, które służyły jako paliwo. Chata, jaką otrzymaliśmy wraz z Kaweckimi i braćmi "W" składała się z jednej izby o glinianym klepisku a jedynym meblem był żelazny piecyk. Do tego piecyka trzeba było zbierać topkę czyli paliwo czyli burzany. W sieni znajdował się gliniany piec letni do pieczenia placków na skorowodach, których nie posiadaliśmy. Za posranie służyły wiązki kiewieru czyli trawy stepowej do karmienia bydła, ustawianej na czas zimy w stogach na stepie. Nie posiadaliśmy niczego poza

łachami. Nie mieliśmy zaparek i aby zapalić w piecu trzeba było prosić Kazaszki o żar. One zachowywały się inaczej niż Uzbekki: opędzały się wrogo od Polaków - "Dziok, dziok" - co znaczyło "nie ma".

Lutejsi Kazasi byli jeszcze dzicy. Dopiero od 10-tu lat przestali koczować. Kazaszki nosiły swoje białe suknie. Mieli już w izbach meble to znaczy łóżka i to nie wszyscy. Wówczas jeszcze zimy srogiej nie było więc Kazaszki siedziały na podwórkach przy rozpalonym kotle, w którym warzyło się jedzenie i odwszawiały się. Roza jagią jedli jeszcze łapszę czyli cienkie kluski, które kładli sobie na odwróconych ramionach i jednym chaustem łykali. Jedli też mięso baranie.

Dziewczęta nosiły bardzo dużo warkoczyków z powplatanymi wstążkami i monetami. Paradowały w długich, kwiecistych spodnicach i europejskich zakleciakach. Kazasi mieli bróki i ostere, cienkie wąsiki.

Pierwsza dekada grudnia była klimatycznie do zniesienia. Nie nadeszły jeszcze mrozy ani straszne zamiecie, z których słynie południowy Kazachstan. Klimat jest tu kontynentalny: bardzo słoneczne, deszczowe przedwiosnie i jesień, suche - z temperaturą do $+40^{\circ}$ lata i bardzo mroźne - do -40° zimy.

Niedługo w lutym ogłoszono komisję lekarską do wojska - 1942 to Andrzej poszedł 18 km do Nowotroicka mimo, że go błagaliśmy, aby nie szedł.

Ponieważ władze z bratem bardzo dokuczali nam, a szczególnie Andrzejowi - postanowiliśmy się wyprowadzić z matką i Andrzejem. Oni zostali z Kaweckimi, a my poszliśmy na świ-niarnik. Kazasi są muzułmanami i świnie musieli chować na kontyngent. Ale takich świń to nikt w życiu nie widział: były za-

głodzone, zachudzone i wiecznie głodne. w rozwalającej się szopie stał bardzo agresywny knur. Raz dziennie przychodził pastuch i przynosił im trochę kukurydzy. I my mieliśmy swoją kibitkę w sąsiedztwie swin - po drugiej stronie sionki. Wpływałyśmy kłewier w kotlach /trawę stepową /, która z domieszką kukurydzy stanowiła jedyne pożywienie swin.

Naszym pożywieniem było /miało być/ mleko. Miał je otrzymywać Andrzej. Kazachowie wywiązywali się ze swoich obowiązków w ten sposób, że na przykład dawać 500 g maki dawali 500 gramów pszenicy, którą trzeba było dopiero tłuc. Albo też dawali ryż. Jednym słowem głód tam był niesamowity. Wówczas, w tym głodzie była już placówka polska w Nowotroicku i zjawiał się lekarz. Dał nam 5 rubli /lekarz nazywał się Raczkiewicz / i w ten sposób zostaliśmy zarejestrowane na placówce. I wtedy, w straszną noc, zimną wyjątkowo napisałam wiersz z myślą o witku. Ten wiersz napisałam to znaczy zapamiętałam w nocy, a na drugi dzień przepisałam jakimś kawałkiem ołówka na jakimś kawałku papieru i posłałam do Kujbyszewa do redakcji polskiej gazety, która wychodziła pod redakcją Ksawerego Pruszyńskiego, a wówczas, gdy ja posłałam ten wiersz - gazetą kierował Teodor Parnicki.

Parnicki momentalnie zadepeszował na placówkę pytając o mój adres i otrzymałam od niego list. Te listy mam do dziś. W liście stwierdzał, że wiersz jest bardzo piękny:

Nocna wędrówka.

1. Z księżycem, jak z latarnią,

Idę po mlecznej drodze.

Może cię przecież odnajdę

Którejś bezsennej nocy.

2. Księżycem świecę nad stepem,
Gwiazdami płaczę nad rzeką,
Trawy się wokół kolebią
I ciszy słysząc echo...

3. Najmilszy - gdzież żeś się ukrył
Przed moim wzrokiem stęsknionym?
I w którą świata stronę
Wyciągnąć mam swoje ramiona?

4. Może ja drogę zgubiłam?
Może mnie gwiazdy zmylili?
Wiem. Lewnie wtedy zbiegłam,
Gdy ciężar łez był nad siły.

5. Księżyc - latarnia dogasa,
Poblądza droga mleczna
Na niebie zorza jasna...
Ja jedna zostaję -
Uzekam.

Farnicki entuzjastycznie ocenił ten wiersz i wydrukował w swojej gazecie "Polska", ale ja później - w chwili depresji podarłam. To był archiwalny numer "Polski", wydawanej przez ambasadę polską w Kujbyszewie.

Zaczął tworzyć się sierociniec. Na placówce zjawili się Roman Fongler. Był on ze sprawy Janusza Jędrzyńskiego. Nie wiedziałam go osobiście, ale napisał do nas list, że zatrudnia nas w sierocinciu polskim. Sierociniec był organizowany pod auspicjami placówki. Od marca 1942-go roku do kwietnia 1943-go roku, do

momentu zerwania stosunków polsko - radzieckich byliśmy w sierocincu. A narzej był wycieniony i nie już mu nie mogło pomóc. Umarł 27-go maja 1942-go roku - nie mając jeszcze dwudziestu lat.

O Witku natomiast nie było absolutnie żadnych wiadomości, gdziekolwiek i kogokolwiek o niego pytałam. W piśmie "Polska" drukowano spisy poszukujących, ale nie spotkałam nikogo, kto by się odezwał, kto by z nim siedział. Wależy przyjąć, że umarł między kwietniem, a czerwcem 1940-go roku na Łódzkiej stronie.

Tracując w sierocincu mieszkaliśmy u Czeczenców. Kołchoz był niewielki, ale było tam 14 narodowości tylko z samego Kaukazu. Czeczency ubierali się w czamary granatowe i nosili kurdzaki i odprawiali zbiorowe modły. Byli też Biency, których wysiedlono z Nadwożańskiej republiki. Si najlepiej porozumiewali się z naszymi Żydami. Byli też tam ewakuowani Rosjanie, byli Ormianie.

Materiał budowlany był jeden - glina, ale było widać dbałość niemiecką przy tej samej glinie.

Kiedy przybyliśmy do sierocincu, było pięćdziesiąt dzieci. Kiedy natomiast odchodziliśmy - było 30. Do dziś mam znajomą - właśnie dziewczynkę z sierocincu, do której napisałam, aby ona opisała swoje przeżycia.

24-go kwietnia 1945-go roku wyjechał do nas kurier z Kujawszewa. Narastanie nie dobrej atmosfery wyczuwało się już od jesieni poprzedniego roku, kiedy to NKWD dokonywało wielu rewizji na naszych placówkach. Do jakiegoś czasu kierownik delegatury pojechał do kamieniołomów. Zaczęto mówić, że Polacy robią interesy, handlują złotem, kradną rydło. Bo myśmy dostawali pomoc amerykańską.

wówczas to wypłynęła sprawa Katynia. Jeśli chodzi o nasze -
matki i moje dokumenty - to miałymy zaświadczenie, że jeste-
my pracownikami polskiego sierocinca. Po wyjeździe ambasado-
ra i innych - wówczas też wyjechał Parnicki - zaczęła się
paszportyzacja. A rejonowego wydziału oświaty przysłała pani,
Rosjanka i powiedziała nam, że przejmuję sierociniec, że może-
my zostać jako pracownicy. Ja byłam pomocnicą kucharki, a mamą
wychowawczynią. A nami byli Szachnowscy - nauczyciele z Bro-
dów / pan Szachnowski prowadził grupę starszych dzieci a mo-
ja matka grupę dzieci młodszych/. Pani Szachnowska była pomo-
cą lekarską. Kierowniczką nazywała się Ewa Okrzetuska, młoda
osoba, no i ja - kucharka.

Dzieci były odżywione i zadbane. Przybyła Rosjanka powie-
działa, że możemy zostać w sierocincu, ale musimy wziąć doku-
menty. I poszliśmy nas po dokumenty do odległego o 18 km Nowo-
troicka. Po drodze postanowiliśmy nie brać dokumentów i przez
cały tydzień siedzieliśmy na stepie. A innych rejonów też do-
chodziły wieści, że tam też jest paszportyzacja. Dokument ten
stwierdzał, że jesteście narodowością polską, ale też pisało, że
dokument wystawiono na podstawie uchwały Wierchnowowu Sowie-
ta z dn. 24-go października 1959-go roku. Był to dzień wzię-
cia Białorusi i Ukrainy do ZSRR. A praktyce oznaczało to
obywatelstwo radzieckie.

Ukrywaliśmy się na stepie. Później stworzono nam możliwość
pracy przy budowie ślepego toru dla pojazdów, które miały wo-
zić buraki cukrowe. Była to bardzo ciężka praca, ale też był
to jedyny zakład pracy, który przyjmował Polaków do pracy bez
dokumentów. Wówczas myśmy się tam ulokowaliśmy. To trwało nie-
długo: 15-go lipca zapowiedziano sprawdzanie dokumentów.

Gdy MKWD-ysta podszedł do mnie i zapytał mnie, czy mam dokumenty powiedziałam, że nie mam. Wówczas zapytał: a wezmiesz? Odpowiedziałam: a jak nie wezmę - to co? No to zwalniam się z pracy. ^{Była} to więc sytuacja bez wyjścia. I kołchozu przecież też nas wygnano. Każdy przedsiębiorca kołchozu wiedział, że Polacy mogą dopiero pracować, gdy okażą dokumenty. Podobnie było z naszą pracą w sierocinca. Dotychczas byliśmy bezdomni, a teraz bez pracy.

Zdecydowałam się wziąć, ale to nie było ważne, bo już wychodziła "Wolna Polska" i "Widnokręgi" Wandy Wasilewskiej. Mówiło się o tworzeniu Armii Polskiej koło Riazania.

Dostałam "powiastkę". Do armii przyjmowano kobiety do lat 30-tu, bezdziałne. Moja matka już pierwszego dnia - kiedy poszłyśmy na zborny punkt - zadeklarowała się jako ochotniczka. Miała wtedy 43 lata. Jej prośbę uwzględniono i zaraz, pierwszym transportem ze zbornego punktu pojechała. Ja również miałam prawo wstąpić do armii, bo nie miałam dziecka i nie miałam trzydziestu lat.

Matka wyjechała, a ze zbornego punktu zaczęły odchodzić transporty. Nie zdążyłyśmy się porozumieć co do moich pasów, bo transport odszedł nagle, z miejscowego RKU nadchodziły dokumenty, tylko moich nie było. Cały czas mi odpowiadano, że na swoje dokumenty muszę poczekać. Matka wyjechała jak najszybciej, żeby nie cofnięto zaady na to, że ona idzie do wojska jako ochotniczka. Na zbornym punkcie przesiadziałam 10 dni, przejadłam wszystkie pieniądze i ciągle moich dokumentów nie było. Po 10-ciu dniach komendant zbornego punktu powiedział, że będzie ogłoszona druga mobilizacja, a narazie idźcie sobie do domu. I tak zostałam sama. I wówczas pomogła mi jedna z żydówek polskich, która pracowała jako księgowa w usbeckiej tar-

gowli. Ja miałam być nocnym "wachtiorom". Nogi bolały mnie niesamowicie, ale w dzień szłam 10 km do NKU, aby im się przy-
pomnieć.

Matka wysłała 17 listów, a ponadto napisała do ZFP do Broniewskiej. Z tych 17-tu listów otrzymałam tylko jeden, a od Broniewskiej kartkę z wiadomością, że matka stara się o zmobilizowanie mnie i żebym ja starała się w KK^U ze swej strony. Ciągle się im naprzykrzałam. Kiedy w listopadzie ogłoszono drugą mobilizację - wówczas my cztery już bez przewodnika pojechaliśmy do armii. Miałam olbrzymie czyraki na nogach, że gdybym pokazała je na komisji, to by mnie cofnięto. Wykorzystałam fakt, że komisja była babska i zainteresowałam je wziętymi ponoczochnami /z darów amerykańskich/ i uzyskałam o-rzeczenie "zdorowa".

W czasie podróży Polacy przewozili sól z okolic morza Aralskiego /tam była bardzo tania/ i sprzedawali w europejskiej części, sporo na tym zarabiając, bo tu była bardzo droga. Jechaliśmy przez Aralsk nad Morzem Aralskim, aktiubińsk, Urałsk, Kujbyszew i do Riazania - ok. 200 km od Moskwy. W sumie było tego ok. 8000 km. Jechaliśmy od 25-go listopada do 3-go grudnia. Jechaliśmy w dobrych humorach: lekko na duszy i w węzłkach. Podróżowaliśmy razem z Krasnoarmiejcami. Często spotykaliśmy transporty Polaków z różnych rejonów.

Muszę wrócić do początku w roku 1942-go. Dokładnie 19-go lutego przekazano nam kartkę z rejonowej placówki. Pisał przedstawiciel tejże, dr Bengler, pytając o życiorys. Bengler kojarzył się nam z Januszajtysen, jego sprawą. Był naukowcem poznańskim, "kontakt" konspiracyjny Korytki czy Kazi. Opisaliśmy. 23-go lutego nadszedł list od Benglera: Nowotroick, 27.2.42. Mąż Kaufena ambasady Dr w ZARR na rejon Ozu. Pani Brzezewska Maria, kołchoz Tendlik.

zapoznarem się z pani życiorysem, a ponieważ zgodnie z instrukcjami zalecone jest ratowanie b. "zagierników" i "politycznych", proponuję pani:

1. w utworzonym przez rejonowego męża zaufania polskim sierocińcu w Mojun - Kumie obejmie pani obowiązki wychowawczyni. Naprzód tytułem próby na trzy tygodnie. Nie obiecujemy żadnego dowodu prawnego. Pracuje pani jako pracownica na dzienny wynagrodzeniu tj. po 5.36 rb dziennie. Będzie pani przez rejsowiet skierowana do naczelnika kołchozu do Mojun - Kum, aby dostarczona dla pani, jako pracownicy sierocińca mieszkanie, oraz dla córki i syna. Odpowiednie skierowanie dostarczy pani p. dr. Macakiewicz. Organizacyjnie podlega pani kierowniczce sierocińca p. Swie "s". Proszę o niezwłoczne przeniesienie do Mojun - Kum.

2. P. Maria Kosińska uda się wraz z panią do Mojun - Kum i będzie w sierocińcu pomocnicą kuchenną na tych samych warunkach pracy, co i pani.

3. Wstrzegam się przeciw zamieszkiwaniu pani i syna w sierocińcu. Wolno będzie natomiast paniom korzystać z jedzenia z sierocińca, z wykluczeniem produktów takich, jak czekolada, kakao, mleko skondensowane i ewentualne konserwy mięsne i owocowe wyłącznie przeznaczone dla dzieci. Kwotę utrzymania jednej osoby obliczam na +/- 5 rubli łącznie z przypadającą racją chleba dziennie i tę kwotę będzie się strącać z wynagrodzenia.

4. Syna Andrzeja Białewskiego zabierze pani do Mojun - Kum. Nie jest wykluczone, że umieści się go w miejscowym szpitalu. 5. Andrzejowi Białewskiemu nie wolno przebywać w sierocińcu. Przeznaczone dla niego wyżywienie przez kucharkę sierocińca, p. Skrzetuską starszą, należy synowi podawać poza sierocińcem.

Z treścią pisma zapozna pani po przyjeździe do sierocinca p. Ewę Skrzetuską, oddając niniejszy list do przeczytania. Podpisany /Roman Tengler/.

24 lutego wyprowadziliśmy się definitywnie ze swiniarnika a 26-go wymaszerowaliśmy z tobojkami do Kojun-Kum do sierocinca. Rzeka Uzu ruszyła. Kakaliśmy z kry na krę, ale nic nam się nie stało.

W sierocincu były już dwie panie: 24-letnia Ewa Skrzetuska, a przy kuchni, w roli kucharki - jej matka Eleonora. Dzieci narazie było pięcioro: pięć siostr banku, w wieku od 5 do 16 lat: Zosia, Wandzia, Ewka, Władzia i Stanisia. Narazie trudno było mówić o przepracowywaniu się personelu. Kończąc wyznaczyć raczej po niskich państwowych cenach na mąkę i kapustę kiszoną raz kartofle, z placówki w Nowotroicku były jakieś dobrości amerykańskie, w małej ilości na początek, było mydło do prania - wielki luksus, a pod kotłem paliło się też luksusowo nie trawą stepową lecz ~~szeszszsz~~ saksauizem. Saksauiz - twarde korzeniaste drzewo bezlistne, karłowate wyrąbywano daleko na stepie i stamtąd dowożono i rozprowadzano po zakładach i instytucjach. Saksauiz był jak żelazo i trzeba było go sprytnie rąbać, a popioł dawał tak gruby, że służył nie tylko do zachowania żaru, ale można go było używać w zastępstwie mydła do prania.

Dom sierocinca był gliniany, jak wszystkie, składał się z trzech sypialni umeblowanych matami i kołkami, nakrytymi kocami: dużej sieni, w której stał kocioł do gotowania posiłków - pokoju higienicznego zaopatrzonego w drewniane koryta do mycia - kuchenki podręcznej i pokoju, w którym mieszkała Ewa z matką. Naszej rodzinie kołchoz przydzielili komórkę u Kosjan.

Spaliliśmy więc nadal pokotem na klawirze.

Stosownie do polecenia objęłam posadę pomocy kuchennej. Początkowo nie było nic do pracy, ale już wkrótce sierociniec począł gwałtownie zaludniać się. W ciągu miesiąca dzieci było już trzydzieścioro, później 60, a po kilku miesiącach dopięto do 85. Nazwiska: Adolf i Ola Jakubowscy, Michaz i Geniuś Czupka, Irka i Wladek Tomaszewscy, Irka i Tadzio Baranowie, Genia i Irka Tokarskie, Jozio, Edek i Janka Doboszowie, Stasia i Tadzio Loniewiczowie, Marian i Irka Langerowie, Witek Ponty, Szczepuś Zach, Wladek Olender, Staszek Dziekoński, Jurek Kra-sucki, Stefa i Piotruś Marcowie, Krysia Adamczuk, Janka Wiel-gosz, Frankek, Marysia i Broniek Jamrozowie, Nadzia, Jacek, trzy siostry, z których najmłodsza liczyła cztery lata, trojka Pi-żatów oraz troje dzieci żydowskich. Więcej nazwisk już dziś nie pamiętam, ale są tacy, którzy pamiętają. Do dziś mam kon-takt z jedną z sierocińca. Mieszka w Zarach. Jej brat jest w Częstochowie. Stasia miała wówczas osiemnastcie lat, a Tadzio 16. Jej adres: Stanisława Morgowska, ul. Piastowska 10 A, 58-200 Zary k/Zagania. Były to wszystkie sieroty lub półsieroty z ro-dzin osadników wojskowych, wywiezionych w głąb Związku Ra-dzieckiego z Polesie oraz województw: wileńskiego, lwowskiego, tarnopolskiego, stanisławowskiego, Łódzkiego. Półsieroty straciły matki, a ojcowie poszli do armii Andersa.

Przybyła także grupka wychowawców: Zofia i Józef Szachnows-cy nauczyciele z Brodów oraz Kazimierz Węgrzyn / o którym już wspominałam /, mąż Frani, który ładnie grał na skrzypcach, więc uczył dzieci śpiewu.

W początkach kwietnia niespodziewanie umarła pani Eleono-ra Skrzetuska. Pochowano ją na miejscowym cmentarzu, a berło

kucharki przejął ją. Moje kwalifikacje okazały się wystarczające.

Andrzej siedział na klawierze i wycinał scyzorykiem kukielki z kartofli, które ubierał w kolcrowsze szmatki. Potem sam uszył sobie "kiszki" - turebeczkę na machorkę i własnoręcznie wyhaftował. Palik maro. Doktor z sierocinca i p. Szachnowski zawsze podrzucali mu troszkę machorki. Jadał mnóstwo, pił na reszcie kakao, jadał mączne potrawy, chleb, mięso. Matka przynosiła mu jedzenie z sierocinca regularnie.

Od 17 go do 21 marca Andrzej przebywał w mojun - kumskim szpitalu. Pogorszyło się. Lekarz orzekł gruźlicę gardła. Chłopak nie mógł już pić kakao, ani mleka, ani nie mógł już przełykać klusek, wszystko zwracał. Któregoś majowego popołudnia siedzieliśmy oboje w słońcu przed progiem. Andrzej patrzył smutno na swoje wychudzone ręce, nadmiernie chude nogi i pytał gorzko: - czy ty sądzisz, że ja kiedyś tymi nogami będę mógł jeszcze pojechać na nartach? Czy tymi ramionami będę mógł jeszcze kiedyś żeglować?

Pocieszałam go, ale od lekarzy wiedziałam, że to już bez nadziejne. Klimat zabójczy dla gruźlików.

27 maja 1942-go roku w nocy matka obudziła mnie: Jędrus nie żyje. Tej nocy miał trzy krwotoki. Trzeciego nie wytrzymał.

Andrzeja ubraliśmy w pasiastą piżamę amerykańską, włożony do trumny z pudła po makaronie, w głowie położyło mu się wieniec scyzoryczek i zielony szalik matki. Chłopcy znaleźli drzewo na krzyż i wymalowali tablicę. I tak w gronie dzieci z sierocinca ruszyliśmy na cmentarz. Gliniasty grób obmyło się wodą, położyło jakąś trawę stepową i stepowe tulipany, które rozkwitły już pięknie, a na rogu mogiły zakopaliśmy puszkę po ke-

kao, aby kiedyś poznać, w którym miejscu leży syn i braciśzek.
Niestety, cementarz był nieogrodzony, pasły się tam kozy.
Jak się zresztą wydaje - ten teren - został zalany i powsta-
ło sztuczne jezioro. Kilkanaście lat temu widziałam rapor-
tarz właśnie z Uzu, skąd pokazywano wielkie maszyny zasypują-
ce ziemię. Chyba to było z tego miejsca.

W sierocinacu życie toczyło się swoim, ustalonym trybem.
Dzieciaki wylegały przed baraki i bawiły się. Rano uczyły się
w Mojun - Kumie były też ładne miejsca, nad głównym arykien.
W którym dzieciaki tańczyły się, ludzie dobrze już pracowali
na działkach i w kołchozie. Przekopywali kanały - "ariki" do
rzeki Uzu, nawadniając w ten sposób pola. Na noc ariki zamyka-
ło się gradami ziemi. Rosły: melony, kawony, dynie, ogromne pomi-
dory, wspaniałe ogórki, kukurydza i kartofle. Na kołchozowych
polach była pszenica. Ziemia nie była w pełni wykorzystana,
bo step zalegał szeroko i hodowano na nim bydło.

Wtedy to, wiosną, wyjechała ze Związku Radzieckiego armia.
Mówiono o tym tajemniczo, szeptało i żałowano, że do tej armii
nie zostało się przyjętym. Rejonowa placówka przebiekiwała, by
sierociniec był gotowy, bo możliwe, że zostanie ewakuowany do
Iranu. Być może, ale nie liczyłam na to specjalnie. Sierociniec
był coraz zamożniejszy. Dzieciaki były dobrze zaopatrzone w za-
mowe i letnie sukienki i ubrania, sieliszę, buty, ręczniki, koca
i mydło. Sierociniec nie utrzymywał kontaktów ze środowiskiem

Dni upływały jak w kołowrocie. W przerwach próbowałam do-
kształcać się w języku rosyjskim. Rozumiałam już bardzo wiele,
a wypożyczona książka z opowiadaniem Głuchowa okazała się
wspaniała. Od koniec sierpnia placówka zawiadomiła mnie, że kt
ktoś z Kujbyskewa pyta o mnie. Oczekałam w napięciu: może to
witek? 1-go września nadeszła do mnie depesza rządowa z Kuj-

byszewa: Obł. Dżambulska, rej. Sujski, kołchoz wojun - Kum, polski diet - dom. "Przekazujemy telegraficznie 500 rubli - potwierdźcie - w potrzebie zwracajcie się do polskiej ambasady albo do polskiego pełnomocnika / w rejonie/.

Rubie otrzymałam w tydzień później, ale nadal nic z tego nie rozumiałam. 14 sierpnia nadeszła druga depesza. Dzisiaj można ze skrawka papieru zapisanego ołówkiem zrozumieć tylko słowo "gazeta". Chodziło o redakcję gazety "Polska", wydawanej przez ambasadę polską w Kujbyszewie. 9 października nadeszła trzecia rządowa depesza. Resztę 15 października otrzymałam list. Był to list od Farnickiego.

Łączą się sroga, kazachstańska zima. 2 Polaków, którzy nie wyjechali z armią, w Tendliku mieszkali nadal panie Kaweckie, bracia W, Wierczyńskie, Marosielowa, Kępowie, kilka Polek z dziećmi - którzy żyli jeszcze na jakimś poziomie, bo w lecie zarabiali "trudno-dni" w kolchozie, a poza tym wciąż mieli jeszcze coś z drobiazgów do sprzedania, jak garnki, płotno czy nici/. W wojun - Kumie mieszkali między innymi Mudreccy. On pracował jako szewc w artelu, ona nie pracowała, liczyła chyba że 40 lat i zajmowała się wróżeniem. Było to zajęcie nader skomplikowane. Jak tu powiedzieć klientom Uzczeńcom czy Turkmenom, że syn zginął na froncie, bo w kartach wyraźnie "stała" śmierć. A jak nie powiedzieć, jeśli jutro przyjdzie zawiadomienie, że zginął? Pani Mudrecka bawiła się awantur i kłódek ze strony dzikiej klienteli, ale jakos zawsze dobrze wszystko się kończyło. W zamian przynosili mleko i baraninę. Języka rosyjskiego nie znała. Wróżby odbywały się na mięgi. Kiedy rejonowy prokurator powiedział do niej "skatina" /bydło/, powiedziała, że był bardzo sympatyczny i mówił do niej "kocino". Pani Wierchowaska z Poznania w wojun - Kum miała

dwie córki. O starszą, szesnastoletnią Zosię ubiegał się jakiś dzikus. Zartując, dobił ją z nim "targu" o dziewczynę, a potem musiała szybko wycofywać się z żartów, bo dzikus rzecz całą chciał potraktować poważnie.

Przeżyciem dla dzieci z sierocinca i Łujun - kumskich Polaków były Jasełka, napisane i zorganizowane przez mnie.

Armia wyjechała w dwóch rzutach. Znałam z opowiadań wyjazd drugi z Jangi - Jul, z Uzbekistanu, gdzie wiosną 1942 r. sformowała się rzeczywiście ta wysniona 3 dywizja. Oprócz poborowych armia zbierała też i rodziny. Arszalowa z Tendiliku, pojechała na wezwanie. Wróciła sprakana, bo taki tłok był przy ciężarówkach, że nie wszyscy, którzy chcieli i nie ci, co powinni, pojechali. Jakiś oficer zepchnął ją z ciężarówki wsadzając na to miejsce kto wie, czy obywatelkę polską, bo handel polskimi papierami i obywatelstwem rozkwitał ponoć w kontakcie z innymi narodowościami.

Z tego powodu nie żalowałam, że sierociniec nie pojechał na turaczkę. Dzieci miały co jeść i ubrać się, ale umarła 4-letnia Irka Langer /od ukąszenia pająka/, a wkrótce potem 17-letni Jurek Krasucki na gruźlicę.

Świat zawalił się 10 lutego 1945 r., kiedy to w prasie radzieckiej ukazała się komunikat TASS ostro występujący przeciwko rządowi w Londynie. Brzmiał groźnie. Polacy zaniepokoiłi się. Już zaczęły dochodzić wieści z Alma - Aty o aresztowaniu kilku pracowników placówki. w rejonowej placówce w Nowotroicku była rewizja i wkrótce delegat, pan Ioloczek pojechał do kamieniołomow. Sierociniec był oczkiem w głowie placówki. I tu również spodziewano się zmian tym bardziej że po komunikacie TASS-a stosunki z władzami radzieckimi stawały się coraz mniej przyjazne.

4-go marca świętowaliśmy Kazimierza /węgryna-/ w jego nowej, zamożniejszej izbie. Doktor zaczął siłować się z nim i ziamął mu rękę. Odtąd Kazimierz węgryn miał rękę w łupkach. 12-go marca nadeszło zawiadomienie z rejonowego wydziału oświaty, że sierociniec przechodzi pod zarząd radziecki. Przyszła kierowniczka Nosjanka i oświadczyła personelowi, że jeśli chcą, mogą nadal pracować w sierocińcu z tym tylko zastrzeżeniem, iż przedstawią nowe dokumenty wystawione przez NKWD. miejscowy NKWD-ysta oświadczył, iż dokumenty wydaje Nowotroick i tam trzeba się udać.

O nowych dokumentach już trochę słyszano. Należało oddać nasze "udostowierenia" amnestyjne lub inne zaświadczenia, w których wyraźnie było potwierżone narodowość i obywatelstwo polskie, a zamiast tych papierów wydawano dokument z zaznaczeniem: narodowość polska bez określenia obywatelstwa. Najgorsze było jednak to, że dokument mówił, iż zostaje wydany na podstawie uchwały wierzchosowieta z dn. 24 października 1939 r. Wszyscy dobrze pamiętali tę datę: wcielenie Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy do Związku Radzieckiego. Niepokojono się, czy nie jest to równoznaczne z pozbawieniem obywatelstwa polskiego.

Personel sierocińca nie miał zamiaru brać nowych dokumentów. Nie mieli takiego zamiaru i inni obywatele polscy z rejonu i kołchozów. I zatem trzeba było przygotować się psychicznie i fizycznie na represję.

Swa została w Mojun - Kumię, ale nie w sierocińcu. Ja z Matką i węgrynowie rozstawaliśmy się z dziećmi. Porozdawaliśmy im indywidualnie koce, kasko, mydło wiktualny i odeszliśmy. Ja z Matką mieszkaliśmy już wtedy w młej izbie u Czeckenców. W rogu izby stały worki z kartoflami, bo dzięki rublom Par-

nickiego chcieliśmy tej wiosny wziąć działkę i obsadzić warzywami. Nic z tego, trzeba było się zegnać. Z trumoczkami na plecach poszliśmy wszyscy na cmentarz do Andrzeja, a potem ruszyliśmy do Nowotroicka, do NKWD.

Było 20 marca - przedwiosenne roztopy. Łaty śniegu leżały na stepie. Do Nowotroicka było 18 km, a w połowie drogi był kazachski kołchoz Embek, w którym jeden barak zamieszkiwali Polacy. Z mężczyzn byli tam tylko: Świderski, który furmanił na Sybirze i odmroził nogi tak, że owijał je płachtami workowymi oraz młody Zwaczko, mąż zaufania polskiej placówki. Poza tym kobiety, kilku wyrostków, kilka dorastających dziewcząt i dzieci - Świderski miał pięcioro - w sumie ze czterdzieści osób.

Z wielkim zdumieniem słuchali o tym, co się stało w sierocińcu. Tu jeszcze było spokojnie. A skoro spokojnie, to po co pchać się w objęcia NKWD? Może uda się przetrzymać tę całą historię z dokumentami? Zaproszeni przez "embekowców" dostaliśmy kąpiel w baraku, że sobą mieliśmy jeszcze pewne zapasy mąki i chleba, poza tym przez dwie następne noce chodziłam z dziewczętami do wojun - kumu po swoje, przeznaczone na działkę kartofle. Było więc co jeść. Przesłowny step dawał schronienie, gdy tylko na horyzoncie ukazywał się ktoś z kołchozowej władzy.

Szachowski przydarzyła się przygoda. Właśnie zbierali opał na stepie, gdy ujrzeli kogoś na koniu. Oczywiście konno mogła jechać tylko władza. Szachowski momentalnie padł na ziemię i przykrył się wiązka topki, ale tak niefortunnie, że nogi sberczały. Kazach na koniu zauważył to. Podjechał do Zofii, zrobił kółko na czole i zapytał: Czto, durnoj?

Z miejscowymi Polakami stosunki układały się dobrze. Szabekowcy mieli trochę zarobionych za "trudodni" zapasów żywnościowych i teraz na wiosnę szykowali się, że całą brygadą wyjdą w pole. Nie była to zresztą byle jaka brygada, ale sami przedownicy. Tymczasem kołchoz z nich zrezygnował. Zorganizowano zebranie, przyszedł naczelnik kołchozu i oświadczył, że przyjmie ich pod warunkiem, że załatwią w Nowotroicku sprawę dokumentów, Zwłaszcza zawołał, że nie przyjmie żadnych sowieckich papierów, więc zaraz go przymknęto, ale tylko na dwa dni. Polacy obrazili się: mogą nie pracować. I zaczęli chodzić na zarobek do Kazachów, mieć im pszenicę na łąkach i truć w stepach ryż. Po tygodniu przestano ich przyjmować iść do pracy - naczelnik zakazał. Wkrótce - 5 kwietnia - kołchoz wywołał im mieszkanie w barakach: kto nie pracuje, w kołchozie mieszkać nie będzie. Kto chce natomiast pracować - musi mieć dokumenty w porządku. Podobne wieści zaczęły nadchodzić z Tendliku, Sojun - kumu i z całego rejonu Ozu.

Gdy trwały ciężkie boje z Niemcami, kilka tysięcy Polaków w dalekiej Azji tużalo się bez opieki. Najbardziej interesował nas problem, czy dojdzie do zerwania stosunków polsko - radzieckich. Niepokoiły też rewizje i aresztowania na placówce. Ale ambasada milczała. Parnicki też milczał.

Wyszliśmy z Szabeku do Nowotroicka całą gromadą, dziesiątego kwietnia, po południu 1949 roku. Byliśmy zrezygnowani. Na ambasadora w dalekim Kujbyszewie nie było co liczyć. Na przędzie szedł stary Świdorski z krzyżem w ręku w butach - workach - bo miał odmarżone nogi. Za nim posuwały się baby, wyrostki i dzieci z tobozami, na końcu pochodu Szachnowscy, my z Matką i Węgrzynowie. Cały tłum śpiewał "Serdeczna Matko" i

posuwał się z wolna przez środek kołchozu. Reszcie wyszliśmy na step. Okazało się, że uszliśmy już 4 km i że trzeba odpocząć. Wkrótce zapadł zmierzch i ukazały się gwiazdy. Orzekliśmy, że na świecie jest pięknie i że w tej sytuacji najlepiej być razem z ziemią. Po co spieszyć się na poniewierkę do więzienia? Poukładaliśmy się pokotem na trawie koło drogi i postanowiliśmy przenocować jeszcze na wolności.

Nazajutrz, o szóstej rano wstało piękne słońeczko. Trawy pachniały, chciało się oddychać jeszcze wolnością. Przecież nikt po nas nie przyszedł, nikt nas przymusowo - pod karabinem do więzienia nie pchał. Co ma być - to będzie i tak z woli boskiej. Po co kusić diabła? Pomodliliśmy się i poszukialiśmy ustronnej kotlinki, tam usiedliśmy gdzie kto mógł i chciało i zaczęliśmy warzyć śniadanie na kuchenkach polowych, które każda rodzina sobie wykopała. W ciszy i spokoju spędziliśmy cały dzień jako ludzie wolni. Nasmakowała nam ta wolność. Jeszcze mieliśmy jeszcze co a topka była na stepie. Porobiliśmy sobie zagrody z kubsjów i burzanów, na karajach rozłożyliśmy kołdry czy płacety, żeby zasłonić się od wiatru i tak siedzieliśmy.

Szóstego dnia niektórym zabrakło jedzenia. Kazascki z Embeku dały się namówić i dały chleb za mielenie na żarnach. Ale siódmego dnia już nie chciały, bały się. Ósmego dnia wieczorem stary Świderski wraz z chłopakami złapali młodego byka, który odłączył się od stada i nieopatrznie wpadł w zasadzkę. Zamordowali, a później szybko powiartowali. Każdy z gromady otrzymał po jakieś trzy kilogramy mięsa. Nocą wszyscy pośpiesznie gotowali mięso, zjedli je łapczywie, a kości spalili, żeby żaden ślad nie pozostał. Wszak w kołchozie wiedziiano, że

Polacy całą gromadą siedzą na stepie. Jednak coraz częściej rozlegały się głosy, żeby iść do więzienia. Ogarniała nas rozpacz, bo zapasy już się kończyły. Na stepie siedzieliśmy od 10-go do 20-go kwietnia, kiedy to przyjechali jacyś trzej na koniach i pytali, kim jesteśmy i dlaczego siedzimy na stepie a nie w kółchozie. Kiedy powiedzieliśmy, że chodzi o dokumenty - odpowiedzieli, że trzeba je przyjąć. Wówczas nasze baby rozwrzeszczały się: Ach, ty skurwysyny, hoźota, ludzi nęcycie, niedoczekanie wasze.

Po dłuższej naradzie zapadła decyzja, że pojedą niby to brać dokumenty, ale gromadnie. Wszyscy staną pod NKWD w Nowotroicku i zobaczą, co dalej. Przyszli, ale w NKWD powiedzieli, żeby przychodzić pojedynczo. Naszych oświadczeń, że chcemy wejść wszyscy NKWD nie przyjmowało do wiadomości. Dla postrachu aresztowano 16-letnią, pyskującą Henię Świderską i Szachnowskiego, ale poza tym nie zamierzano ich, żeby wchodzić do budynku.

Dokumentów nie przyjęliśmy, ale jakos tak wszyscy się rozproszyli. Węgrzynowie z Matką i ze mną urwali się. Po co mamy pchać się na oczy NKWD? Niech lud przemawia. Mielismy jeszcze trochę pieniędzy i dogadałismy się z kulawym Filipem, pastuchem z Nowotroicka, że nas przyjmie na mieszkanie. Filip miał 30 lat, był typowym chuliganem, na niczym mu nie zależało, przeklinał Stalina w żywy kamień i migdałii się z siedemnastą z kolei żoną na wielkim piecu, który oddzielał dwie izby. Jedną izbę zajęłismy w czwórkę, w drugiej królowała Filipowa wraz z mężem.

Wesata towarzystwa rozpierzchła się. Wynajmowali się do pracy po prywatnych działkach. Dokumentów nie mieli, a NKWD

nie amusało. Nie mogliśmy tego wszystkiego zrozumieć.

23 kwietnia 1945 r. ogłoszono zerwanie stosunków polsko - radzieckich. Kilka dni później ambasador Romer wraz ze swiatą wyjechał z ZSRR.

Kazimierza Węgrzyna aresztowano 24 maja, jako mojun - kumskiego męża zaufania placówki. Rękę miał jeszcze na temblaku. Przychyli po niego do Filipa. W tym dniu ja wybrałam się do Ambeku, aby sprzedać Kazacnom dwa worki i dwie matalowe puszki po kakao. Kazacy chętnie te puszki nabywali śląc w nich topione masło synom na front. Worków nie udało się sprzedać.

Po aresztowaniu Kazimierza wróciliśmy do Mojun - kumu, do czeczeńskiej izby. Kartofli już nie było. Trzeba zarabiać na chleb. Najlepiej pomagając Niemcom kopać ich działki. Ale Niemców nie starczyło dla chętnych, poza tym już oceniali z postury, że nie należymy do przodownic fizycznej pracy. Trzeba było iść do kołchozu. Przyjęto do nas nie wspominając o dokumentach. Uszy prace polowe, trzeba było ludzi. Doszła nowa gazeta "Nowe widnokregi", wydawana przez nowozałożony Związek Patriotów Polskich. Działo się coś nowego.

Czeczeńcy wynowili nam izbę. Przenieśliśmy się więc do komórki z jednym posłaniem do Rosjanki Lidii.

Praca w kołchozie była trudna. Upały nie do zniesienia. Od godziny 12 do 14 nie pracowało się, bo glina odparzała stopy. Jeść nie było co. Te gramy chleba? Zaczynał się stary głód. Po całodziennym anżu chodziłam wieczorami po rowach po lebidę na kolację oraz zielsko dla krowy jakiejś Niemki. Jakże trudno jest zbierać cały wor zielska. Za ten wor Niemka daje kubek gorącego mleka.

Kiedy któregoś tygodnia przy wypłacie brygadzieta "zajęła"

deputat mąki na pomoc dla Krasnej Armii, a głód żarł kiszkę i na dodatek znów poczęło potofiejalnie przebąkiwać o konieczności wykazania się dokumentami, uciekłam z matką do Czu.

Czu, rejonowa stacja w odległości 20 km od wojun - Rusu, posiadała kilka przedsiębiorstw, a in. dużą bazę buraczaną oraz całe osiedle domków kazachskich robotników zatrudnionych przy załadowywaniu saksaułu, dowożonego ze stepu na wagony towarowe idące do Taszkientu.

w Czu delegatura planowała założenie filii sierocińca. więc placówka wynajęła tam duży, ładny z drewnianą podłogą, a nie z klepiskiem pokój z gospodarczym zapleczem. Do zamknięciu placówki pomieszczenie było bezpańskie, ale opłacone. Do pokoju wprowadzono się 10 kobiet i dzieci. Były wśród nich Halina, żydówka, nauczycielka, posiadająca paszport z 1939 r. Halina wraz z dwojgiem małych dzieci uciekła z ukraińskiego sowchozu, kiedy nadchodzili Niemcy. Mąż jej zginął w tym zamieszaniu, a ona z dziećmi i pastuchami, gnając stado baranów, wylądowała w okolicy Stalingradu, a następnie Czu. Pracowała jako buchalterka w uszeptergu na stacji, gdzie ładowano saksauł, a jej dzieci znajdowały się w rosyjskim sierocińcu. Dalej: Witczakowa, żona zawodowego podoficera z dwojgiem dzieci Saorska, nauczycielka z białoostockiego z córeczką i jeszcze kilka inteligentek bez pracy i środków do życia, podobnie jak my, bo inaczej - jak Halina, nie posiadające dokumentów.

Stosunki były średnio przyjemne. Wszystkie głodowały, a bazar był tu, tuż.

wśród Polaków rozeszła się wieść, że istnieje przecież takie przedsiębiorstwo, gdzie nikogo nie pytają o dokumenty. Jest nim baza buraczana. Pociągnęli tam tłumnie, a wśród tego

mobilizacja do nowej armii, a w takiej chwili coż znaczą papierki?

Z żelaznych zapasów uchowała się jeszcze czarna, postonowa sukienka amerykańska. Moje nogi znów pokryły się wrzodami. Któregoś niedzieli wyruszyłam na bazar w Cz. dzierząc kurczowo sukienkę. Bazar szumiał, pełno Kazachów. Około południa jakaś rodzina rozłożona całym taborem zainteresowała się suknią. "Skolko?" "Tysiąc trzysta rubli" odparłam z bijącym sercem. Skinęli poważnie głowami i Kazach w zaduku - odliczyli czerwonce. Papierki plątały się w oczach. Jedzenie znów w bród słodkie pomidory, melony, ogorki, chleb, kartofle i ajran - kwaśne, gotowane kazachskie mleko.

26 sierpnia 1947 r. przyszło na moje nazwisko wezwanie z rejonowej komendy wojskowej na punkt zborny. Zaczęła się mobilizacja do Wojska Polskiego. Oddałam magazynierowi służbową łopatę, a on twierdził, że nie oddałam i trzeba za sprzęt płacić. Z rozpaczy dostałam ataku hysterii. "Ty sami wory. Sami ukradli łopatę", darłam się. Widząc te szczere łzy, magazynier uznał sprawę za załatwioną.

Matka nie mogła dostać się ze mną. Unciała też być w armii. Poszliśmy razem na punkt zborny w Cz. Były to baraki z dużym podwórzem zaopatrzonym w piec do gotowania. Poborowi przebywali tam na własny koszt. Do miasta wolno było wychodzić, byle stawiać się na apele i podliczenia. W punkcie znajdowali się Polacy i Rosjanie. Wśród nich około 30 mężczyzn Polaków i 8 Polek. Ale wciąż przybywali nowi. Niedługo grupa polska liczyła 50 osób, w tym 10 kobiet. Wszelkie to towarzystwo spało pokotem na klepiskach w baraku, myła się skąpo, wychodziło na bazar po zakupy i następnie przez pół dnia trwało wrazenie maki. Gdy przyjechał przedstawiciel rejonowej komisji,

matka oświadczyła stanowczo, że wstępuje do armii na ochotniczkę /liczyła wówczas 49 lat, a mobilizacja obejmowała kobiety samotne bez dzieci, do lat 30-tu/. Zgodzono się i wpisano ją na listę. W trzy dni później przybył naczelnik z listą do transportu. Wywołano wszystkich... z wyjątkiem mnie. Zaniedo-kożam się. Przecież byłam zmobilizowana.

"Nie szkoda!" - uspokajał naczelnik - na razie odpowiednie papiery z rejonu Nowotroicka jeszcze nie nadeszły. Pojedziecie w następnym transporcie. Mobilizacja trwa.

Ożycowaliśmy się z matką gorąco. Spotkamy się w Siedlcach nad Oką, a matka nie może czekać ze mną, musi jechać, aby komisja nie zrezygnowała z ochotniczki. Pojechaliśmy wieczorem. Zostajam.

Siedziałam na zborym punkcie dziesięć dni, przejadłam wszystkie pieniądze. Transporty odchodziły co drugi dzień, a moich dokumentów ciągle nie było. 8 września przyjechał naczelnik i oświadczył, że mobilizacja zakończona. Mężczyzn wszystkich wezmą, ale kobiety mogą zejść do domów i czekać na ogłoszenie powtórnej mobilizacji. Kobiet zostało kilka z różnych kórchozów.

Dokąd wracać - oto pytanie, które mnie gnębiło. Pomoc okazała mi Halina. Zapraszała mnie do wspólnego pokoju w Ozu, tam gdzie mieszkaliśmy poprzednio. Powlokłam się za nią. Nogi bolały, wrzody wabierały. W pokoju przyjęto mnie niechętnie. W 10 osób nie było łatwo mieszkać. Halina wyprowadziła się już zresztą z tej mordowni. Jako buchalterka użyciorku miała prawo zamieszkać na osiedlu robotniczym Koskoduk, w którym to gnieździłi się ładowacze saksau. Otrzymała izbę i sionkę w połowie donku i zabrała mnie ze sobą. Dzieci Haliny nadal prze-

bywały jeszcze w sierocincu.

W izbie stało jedno łóżko, które Halina zasiała skórą barana, a drugą skórę położyła przy glinianym piecem. Poza tym do sprzętów należała jakaś stara skowroda, wyłudzona od Kazachek, na której można było piec placki, ale nie miałyśmy mąki, więc nie piekłyśmy. Za to było trochę kukurydzy i tę wieczorami rzucaliśmy na skowrodę. Siedząc przed ogniem na baraniej skórze, zagryzając kukurydzą gębą, snułyśmy górne marzenia, jak to będzie, gdy wrócimy do kraju. Bo przecież wrócimy. Rosjanie pędzą wroga, w zimie skończył się Stalingrad...

Halina w czasach studenckich należała do młodzieżowej komunistycznej organizacji "Życie" i jej poglądy były komunistyczne różniły się od moich, pełne niepokoju i wątpliwości. Ale dyskusje nie przeszkadzały nam w przyjaźni.

Trzeba było iść do pracy czekając na powtorną mobilizację i wieści od matki. Halina знаła Andrzeja Nikołajewicza, naczelnika rejonowego Uztoptorgu. Postanowiła mnie tam wręcić. Poszła na rozmowę do Rosjanina. Był z tych, których w 1933 r. wysiedlono z Rosji do Kazachstanu. Przeżył swoje. Bardzo mi się podobał, bo łatwo zgodził się zatrudnić mnie jako brygadzystkę i adowaczy saksau. Awans. Drugim brygadystą był młody Kazach. Robotnicy wychodzili z domków na dźwięk szyny... a więc w szynę brygadysta dawał znak, że nadeszły lory, odkryte wagony, na które trzeba było iadować saksau. Działo się to najczęściej pod wieczór.

Byłam brygadystką tylko przez kilka dni. Kiedy nocą w świetle nikiłych lamp zobaczyłam te obdarte stwory ludzkie, wspinające się po lorach i układające bękatę, korzeniastą drzewa - ludzie ci wydawali mi się podobniejsi do małp niż do lu-

dzi, więc chodziłam obok wagonu i zamiast pilnować robotników, oblewałam łzami ten brak człowieczeństwa. Czy nie siedziałam w obozie i nie widziałam, co to znaczy być pilnowanym jak mała, a nie człowiek? Widziałam. Nie chciałam nikogo pilnować. A co będzie, gdy spadnie śnieg?

Andrzej Nikołajewicz właśnie przyjechał na inspekcję, zobaczył moje łzy i zrozumiał bez słów. Zwolnił mnie na własną prośbę. A tymczasem Halina molestowała naczelnika ochrony u ztoptorgu, aby mnie przyjął do osiedlowej straży pożarnej będącej jednocześnie strażą mienia. Zgodził się. Zostałam przyjęta jako jedyna Polka, co podkreślił, że niby mają do mnie, mimo tej narodowości, zaufanie. Reszta pracowników, ok. 20 osób, to byli Rosjanie, starsi mężczyźni i ewakuantki.

Straż miała prawdziwy czerwony wóz, który obsiadan po bokach i z wielką paradą, przeraźliwie dzwoniąc, wóz ruszał ciągnięty przez dwa rączne konie. Na swojej kadencji nie widziałam żadnego pożaru. Za to jeżdżono się na ćwiczenia, na step, aby spręcznie rozwijać gumowe węże. Ta sama kompania ochraniała obiekty takie, jak stacja sakasuł, kantor i magazyny żywnościowe, dyżurując, jak w fabryce - na trzy zmiany. Dla dodania dozorcom animuszu i powagi zaopatrzone ich w gwintówki /stare strzelby/, ale bez naboju.

Dały mi się we znaki dyżury nocne. Mroź, śnieg, wyiskrzzone niebo, a ja siedziałam skulona na starym wozie, wśród bydła przeżuującego na podwórzu nad korytami, tuż obok stajni, osłonięta starym, wiklinowym koszem od wiatru pilnowałam kantora i magazynu. Liczyłam gwiazdy, szukałam wielkiej Niedźwiedzicy, deklamowałam wiersze i jakoś trzy godziny upłynęły. Potem lichy podkusiło mnie, aby ogrzać się w stajni ze strzelbą

pilnie strzeżoną na kolanach. Zdrzemnąłam się. Kiedy ocknąłam się, stał nademną naczelnik ochrony z moją strzelbą w ręku. Ale był to dobry człowiek. Drugi raz przyłapał mnie na drzemce w nocy, gdy dyżurowałam pod gołym niebem na stacji Saksauk. Wypalił mówkę napominającą lecz wszystko to było w ojcowskim tonie. Nigdy więcej już nie zasnąłam. Za to zajęłam się kradzieżami.

Kiedy pilnowałam saksauk w nocy, z donku wybiegła Halina i zabierała kilka kawałków do izby. Poza tym ukradła z biura paczkę gwoździ.

Kiedy indziej, gdy ^a ~~w~~ ~~o~~ ~~z~~ ~~o~~ ~~w~~ ~~a~~ ~~z~~ ~~a~~ ~~m~~ ~~ko~~ ~~ło~~ ~~ma~~ ~~ga~~ ~~z~~ ~~ynu~~, ze zdziwieniem spostrzegłam, że drzwi są otwarte, ale uspokoiłam się. Nie żadni złodzieje, tylko magazynierka Liza z jakimś pomocnikiem. Liza załadowała mi na plecy dwa worki maki, a spostrzegłszy mnie aruknęła: "dawaj swój worek". Wyciągnęłam worek po chlebie, a Liza naładowała go kartoflami. Także byłam jej wdzięczna. Sama Liza mi to dała, jest magazynierem, więc chyba ma prawo?

- Głupias - odrzekła Halina - przecież oni kradli, a dali ci kartofli, abyś milczała.

25 października przyszła kartka z Sielc od matki, która pisała, że jest to jej 17-ta kartka z rzędu, że czuje się bardzo dobrze i że czeka na mnie.

7 listopada, na święto rewolucji, w ochronie mienia było tzw. "kazaranoje położeniye" czyli dzień wzmożonej czujności. Trzeba było czuwać całą dobę na stacji. Wszyscy razem z wintowkami oczywiście. Ciekawy to był widok. Żadnych rozruchów oczywiście nie było.

15-go listopada przyszedł list od matki, salecający mi wszczęcie starań o wyjazd. To samo w dwa dni później potwierdza-

pismo z Moskwy, ze Związku Patriotów Polskich, podpisane przez Janinę Broniewską. Na skutek starań ob. Marii Błaszewskiej ZPP poleca mi starać się we własnym zakresie w radzieckim wojenkomacie o jak najszystsze zmobilizowanie do Polskiego Wojska. Zaczęłam działać. Nogi bolały, wrzody odnowiły się, ale gdy pracowałam w nocy, w dzień szłam z Czu do Nowotroicka i tam prosiłam naczelnika o zmobilizowanie.

Tymczasem nogi ropiały. Osłaniałam je ciepłą bielizną amerykańską i wełnianymi ponczochami, przerobionymi ongias z wełnianych skarpet jeszcze przez dziewczynki z sierocinca. Wychodziłam z wojenkomatu kulejąc. "Murzyńskie", twarde amerykańskie buty wrzynały się w kostkę. Ani mi do głowy przyszło że jestem obserwowana. Szłam 10 km z ciężkim sercem i burzą myśli.

Głodowałam z Haliną bardzo. Cebuli nie dawano na prądzie więc byłyśmy zupełnie odwitaminizowane. Halina przywiozła dzieci, bo już nie wytrzymała bez nich. Zaorska poradziła mi, abym do wrzodów przyłożyła papier posmarowany mydłem. Powinny pęknąć. Gdy po nocnej służbie leżałam na jedynym w izbie łóżku, smarowałam mydłem nogi i wyłam z bólu, wrzody nie pękały.

Było to 21 listopada 1945 r, kiedy wpadła Zaorska "dla wyszki jest powiestka do wojska". Nie miałam siły cieszyć się. Nogi bolały, dzieci Haliny domagały się jedzenia. Zwlokłam się po wyplatę ze straży pożarnej. Ponieważ rubli zabrakło, sprzedawałam swoje połatane buty za 50 rubli, a kupiłam sobie słomiane Zapacie za 15 rb. Wyglądałam w nich rozpaczliwie, ale były ciepłe.

Rozstałam się serdecznie z Haliną i ruszyłam na punkt zborny. W węzełku miałam sweterek Witolda, kawałek ołówka, listy od tesciów, dwie fotografie Krzysia, Krzysicwy kaftanik, ręcznik o-

raz kawałek mydła. Famiłki po Andrzeju zabrała ze sobą Matka. Na punkcie spotkałam 18-letnią Zosię Mańkę, wychowankę sierocińca, 19-letnią Czesię i jeszcze kilka młodych. Nazajutrz przyjechał naczelnik i wywołał mnie, Zoskę, Czeskę i jeszcze jakąś czwartą do komisji lekarskiej. To zaniepokoiło mnie. Nogi miałam we wrzodach oblepiona papierami. Komisja, dwie lekarki/ gładko przepuściła dwie dziewczyny, a kiedy przyszła moja kolej, komisja spytała "Zdrowa", "tak", "Charaszo".

-Niet - wtrącił naczelnik wojenkomatu-ona czototo chrome-jet...

-Tak? - zainteresowała się komisja - pokaż nogi.

Powoli, ociężale sciągnęłam kawałek pończochy. Błyskawicznie wsadziłam rękę w zgięcie kolanowe w tyle nogi, szarpnęłam papierek... krew. A więc wrzód pękł.

-Niczewo - powiedziałam - eto tolko niebalszozj czyrak...

Szczęśliwie komisja była babska i stokroć bardziej od nóg zainteresowała się wełnianymi pończochami. Ach, co za wełna. Amerykańska? No, no - cmokały z zachwytem. To wystarczyło. Błyskawicznie podciągnęłam pończochy, czarowałam jeszcze przez chwilę lekarki rozmową i szybko opuszczałam pokój.

Pod wieczór odszedł z punktu pierwszy transport. "Transport jechał bez przewodnika z wojenkomatu, bo składał się tylko z czterech osób: ja, Zosia, Czesia i ta czwarta..."

Droga wiodła z Czui przez Arylsk, Aralsk nad morzem Aralskim, Aktiubińsk, Urałsk, Kujbyczew do Biazania, miasta położonego w RFSRR, "niedaleko", bo tylko 200 km od Moskwy... sumie chyba z 3000 km, jechało się do 25 listopada do 3 grudnia. Transportowi polskiemu było wesoło na duszy i lekko na sercach oraz w węzłkach. Ponieważ Zosia Mańka dysponowała maleńkim neseserkiem, wszystkie ziożyłyśmy swoje rzeczy do tego neseserka

i wszystko tam się zmieściło. "Transport" każdego dnia otrzymywaliśmy na stacjach żołnierski "pajok" składający się z kawałka chleba, kawałka czekolady i małego bloku konserwy ryżowej. Ponieważ nie było gdzie go chować, gryzliśmy tę konserwę jak chleb.

Podróżowaliśmy razem z krasnociarniejcami. Chłopcy mieli narnoszkę. Poza tym spotykaliśmy transporty mężczyzn Folaaków z różnych rejonów. Niektórzy z towarzyszy podróży byli tak przewidujący, że wieźli ze sobą worki lub wiadra na sól nad Morzem Aralskim. Kupowali za kopiejki pełno soli, a potem z wielkim zyskiem sprzedawali ten towar na terenie republiki rosyjskiej.

Do Kujbyszewa przybyliśmy nocą. Trzeba było przesiąść się do innego eszelonu. Dworzec był zaciemniony. Wykając pod wagonami, znalazliśmy swój eszelon, ale drzwi były zamknięte. Kierowniczką pociągu nie chciała wpuszczać więcej osób. I wtedy pomógł nam jakiś polski młodzień - który wytrychem otworzył drzwi z drugiej strony wagonu. Weszliśmy... Kierowniczką pociągu wybiegła z latarką w ręku, zagrażając nam drogę. "wy kuda?" - "a tuda" - aruknęłam, a za mną gęsiego dziewczęta. Kierowniczką pociągu rozwrzeszczała się i usiłowała wypchnąć mnie. Zaparkłam się na bolących nogach. Kierowniczką chwyciła mnie za włosy. Zmierzyliśmy się siłami, ale dziewczęta pomogły, zgodnie pomagając mnie do przodu. A już i z czeluści wagonu dochodziły wołania: "To nasze, puszczajcie je, one też do armii."

Dalsza podróż odbyła się bez przeszkód. 5-go grudnia 43 r. wraz z innymi wylądowaliśmy na stacji Diwowo, 13 km od lasów bieleckich nad Uką.

Notował: B. Sianko.

ZAPISKI

Załączniki:

1. List~~ę~~ od Teodora Parnickiego z dn. 25.VIII.1942 r.
2. List od Teodora Parnickiego d dn. 10.II.1943 r.
3. Pismo od T.Parnickiego z dn. 5.X.1943 r.
4. Pismo od J.Broniewskiej z dn. 1.XI.1943 r.
5. Pismo ZBoWiD - dowód na odbycie służby w LWP.

Notował: S. Sianko.

w Warszawie

N-821

ZASWIADCZENIE Nr 542992

Zarząd Wojewódzki Związku Bojowników o Wolność i Demokrację stwierdza, że
Obywatel [ka] Maria Kosińska - Jasińska

[imię i nazwisko]

syn [córka] Henryka urodzony [a]

26.IX.1920 r.

w Orle

[dzień, miesiąc, rok]

[miejsceowość]

zamieszkały [a] w 01-002 Warszawa, ul. Nowolipie 31 m. 69

— jest członkiem ~~z wyznaczeniem~~ ZBoWiD ~~z delegacją~~

— odpowiada warunkom uprawniającym do członkostwa ZBoWiD *

Zaswiadczenie jest dokumentem stwierdzającym prawo do korzystania ze świadczeń określonych w Ustawie z dnia 23 października 1975 r. „o dalszym zwiększeniu świadczeń dla kombatanów i więźniów obozów koncentracyjnych” [Dz. U. Nr 34, poz. 186].

Jednocześnie stwierdza się, że w rozumieniu przepisów art. 8 tej Ustawy do okresu zatrudnienia wymienionemu [nej] zalicza się następujące okresy działalności kombatanckiej oraz okresy uwięzienia w hitlerowskich obozach koncentracyjnych:

służba w Odrodzonym - od 22.XI.1943 r.

Wojsku Polskim - do 9.V. 1945 r.

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

[rodzaj] działalności okres od - do]

Łącznie 1 rok, 6 m-cy

Sekretarz
Zarządu Wojewódzkiego ZBoWiD
Wiceprezes Zarządu
Wojewódzkiego ZBoWiD
i pieczęć służbowa
płn. rez. mgr. Edward Dzięgiel



Wiceprezes Zarządu
Zarządu Wojewódzkiego ZBoWiD
Wojewódzkiego ZBoWiD
i pieczęć służbowa
płn. rez. mgr. Władysław Krupa

Warszawa, dnia 26.IX. 1978 roku

lr

* niepotrzebne skreślić

Starymucha
26.10.1942

lll

25/VIII 42

Nielce Szanowna Pani!

Cóż to za dziwny dzień! Prędzyszytkiem czy przypomina Pani mnie sobie? Spotkaliśmy się w Kustanaju w stołówce przy ul. Daniina (już potem, jak Pani przestaje tam pracować) - rozmawialiśmy o bracie Pani, Andrieju, z którym spędziłem 7 miesięcy na Zamarstynowie ... i rozstaliśmy się...

Dziś przeglądając "spuszczoną" papierois po p. Pruszyńskim (który opuścił ZSRR i którego ja jestem następcą na stanowisku redaktora "Polski" i kierownika Wydziału Prasowego Ambasady) - nagle zauważyłem - wśród powodri grafomańskich wierszyków - jakiś oświłek napisany, uroczy wiersz liryczny... Okazało się, że był to wiersz Pani - i to: liry w szufladzie od lutego!... i gdyby nie przypadek, terazoby moje dzieło!

Natychmiast zaleperowałem do Pani
na stary adres, a nie będąc pewny,
czy Pani adresu nie zmieniła, prosiłem
by Ambasada oficjalnie zawiadzała
telegraficznie u swego męża Zaufa-
nia w Nowotroickiem podanie
adresu Pani....

J wieczorem tego
samego dnia spadają mi w rękę
2 kartki Pani (przy okazji dono-
szą, że p. Tengler też wyjechał
z ZSSR), z których dowiedziałem
się o nowym adresie Pani!

Wiersz Pani należy do najlep-
szych, jakie redakcja „Polski”
z terenów ZSSR dostała - będzie
wydrukowany w „Polsce” (niestety,
nie będę mógł z powodów, odc-
mnie mezaletnich, spełnić Pani
życzenia co do podania pełnego
adresu przy tekście wiersza w piśmie)
i wygłoszony przez radio z Kij-
owskiej (w ramach audycji
Ambasady R.P.), - tak by był
słyszany w Polsce. Proszę o dalsze
wiersze i proszę dużo napisać
o sobie.

Łączę wyrazy powarania
i prawdziwego podziwiania
i całego serca

Kujbyszew, 5 października

W Pani Marię Białewską Kosińską
w Majun-Kuñ (Diambulśka obf.)

Szanowna Pani.

Miło mi Pani, zawiadomić, że od października poczynając, będzie Pani otrzymywać stały miesięczny zasiłek w kwocie rubli 800 (osiemset), przy czym kwota ta w części pochodzi z Funduszu Opieki Społecznej Ambasady R.P. w ZSRR, a w części z Funduszu Kultury Narodowej. Zasiłek ten ma specjalny charakter pomocy dla polskich pisarzy i artystów.

Z poważaniem

P.O. Attaché Prasowego
Ambasady R.P. w ZSRR
Teodor PARNICKI

Post Scriptum W najbliższych dniach prekaraj się Pani honorarium za wiersz „Noćna Nędrówka”, który ukazuje się w najświeższym (14-15) numerze „Polski Młoc” Pani ma jeszcze jakie wiersze na tymże poziomie artystycznym?

et rymowaleni
o 11.1942

nych warunkach. przez pół roku!

Czy Pani regularnie dostaje
po 800 rb. miesięcznie,
wzgl. 1600 - co 2 miesiące?

"Polska" ma teraz nowego
redaktora: jest nim nasz
nowy Attaché Prasowy, p. Jan
Erdman. Ja zostanę przez 5,2
miesięcy. Attaché Ambasady
(dotąd byłem urzędnikiem, pełniącym
obowiązki Attaché Prasowego -
w tym też charakterze towarzyszyłem
Pannu Ambasadorowi na Kreml,
biorąc udział w ceremonii
złożenia listów uwierzyteliwiających
Przewodniczącemu Rady Najwyższej
p. Kalininowi) - Attaché ds.
spraw kultury i kontaktów
kulturalnych Polski z ZSRR,
Sprawy więc twórczości artystycznej
Polaków w ZSRR i opieki materialnej
nad pisarzami i artystami
polskimi w ZSRR porostają
w mojej kompetencji i sprawy
redakcyjne - już nie.

Oczekuję listów od
Pani i nowych utworów.
Serdeczne pozdrowienia
Teodor Parnicki

otrzymujemy
24. III. 1943 r.

ll

10 / II 43

Przepraszam Pani!

"Szopka" Pani przysłała, niestety, za późno; fragmenty proszę wykarzuje naprawdę subtelny talent, ale niestety, z powodów od redakcji nieralerynych, w "Polsce" nie będą mogły się ukazać; wiersze prawdopodobnie pójdrze, ale - wybacz mi Pani szeregować? - choć niewątpliwie nacechowany artystycznym i wyróżniającym się powadzi grafomanii, jaką nas teraz rasykuje - słabszy jest od poprzedniego...

Poprzedni zaś wiersz Pani

(w "Polsce" drukowany) podobno zdobył ogromną popularność wśród Polaków w Francji - jest często deklamowany publicznie na różnych występach... Podobno nawet osnuwa go już legenda: że autorka popełniła samobójstwo, bo ukochany, którego narodziła odrzuciła, podjęty się w młodości z inną kobietą... Żadnych faktycznych jedynak denych o mężu Pani nie udało mi się uzyskać.

Głęboko wstrząsnęła mnie wiadomość o śmierci Andrzeja. Wszak przeżywałam obok siebie bardzo blisko, w wra-

przepraszam...
ba. jestem...
nie...
jest...
legenda...
Andrzeja...
wieloletnia...

Самодельные радиостанции

Главное Управление

Москва, Садовнический проезд, д. 4

1/XL

№ 1082/V

1943

Niniejszym komunikujemy, że zgodnie z życzeniem matki Waszej, Marii Brażewskiej wysłaliśmy do Waszego Wojenkomatu odpowiednie zarządzenie, by Was zmobilizowano.

Radzimy Wam, w celu przyśpieszenia wyjazdu, abyście kategoriycznie żądali w Waszym Rejwojenkomacie natychmiastowego zmobilizowania.

INSTRUKTOR
WYDZIAŁU WOTSKOWEGO
ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZPP
W ZSRR

Prokudin
(PROKUDIN)



ПОЧТОВАЯ
CARTE POSTALE



Куда

Варшава

Наименование места, где находится почта, и области или края, а для станций — наименование железной дороги.

Нахичевань

Район, село или деревня.

улица Геролевых № 71 м. 10

улица, № дома и квартиры.

Кому

Мария Косминская

Подробное наименование адресата.

Адрес
отправителя
Adresse
de l'expéditeur

1-73

С.С.С.Р. город Тобольск
почтовый ящик № 15

Станислав Иванович Тосинский

30. II. 1939

Najdroższa Marysiu!

Tęskząc z miłości
i prężyłam Ci w Dniu

Imienin najserdeczniej

się życzenia spełnienia

wszystkich Twoich pragnień.

Napisz natychmiast

jak trzymasz moją

partkę. Jeszcze daję nam

świecące i ciepłe. Brak

mi swetra, rękawiczek

2 par. szalików i szalików

wszystko może być uży-

wane i w jak najlepszym

ostatku. Ściskam

Wszystko
z miłości
i prężyłam